



JULES GABRIEL VERNE

**20 000 mil
podmorskiej
żeglugi**


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

Jules Verne

20 000 mil podmorskiej żeglugi

«Public Domain»

Verne J.

20 000 mil podmorskiej żeglugi / J. Verne — «Public Domain»,

Содержание

Skała uciekająca	5
Za i przeciw	9
„Jak im się podoba”	13
Ned Land	17
Na los szczęścia	21
Całą siłą pary	25
Wieloryb gatunku nieznanego	30
Mobilis in mobili	35
Gniewy Neda Landa	40
Pan wód	44
Nautilus	49
Wszystko za pomocą elektryczności	54
Trochę liczb	58
Czarna rzeka	62
Конец ознакомительного фрагмента.	68

Jules Verne

20 000 mil podmorskiej żeglugi

tłum. tłumacz nieznany

Utwór opracowany został w ramach projektu [Wolne Lektury](#) przez fundację [Nowoczesna Polska](#).

Skala uciekająca

Nie zapomniano zapewne dotąd wypadku dziwnego, niepojętego i trudnego do objaśnienia zjawiska, jakim się odznaczył rok 1866. Nie mówiąc już o pogłoskach niepokojących ludność portów i zajmujących ogół na wszystkich lądach, dodać wypada, że marynarze byli najmocniej zaniepokojeni. Kupcy, armatorzy¹, dowódcy okrętów, szyprowie² i sternicy statków europejskich i amerykańskich, oficerowie marynarki wojennej wszystkich krajów, a nawet rządy różnych państw obu lądów do najwyższego stopnia zajęci byli tym wydarzeniem.

Od niejakiego czasu okręty napotykały na morzu „jakąś rzecz ogromną”, przedmiot długi, kształtu wrzecionowatego, niekiedy świecący, nieskończenie większy i szybszy od wieloryba.

Fakty dotyczące się tego zjawiska, notowane w dziennikach okrętowych, zgadzały się zupełnie w szczegółach o budowie przedmiotu, czy też jestestwa, o którym mowa, również jak o szybkości niesłychanej jego ruchów, zadziwiającej sile posuwania się, o żywotności nareszcie szczególnej, jaką zdawał się być obdarzony. Jeśli to był wieloryb, to wielkością przewyższał wszystkie gatunki, jakie nauka dotąd określiła. Ani Cuvier, ani Lacépède, ani Dumeril, ani de Quatrefages nigdzie dotąd nie wspomnieli o istnieniu takiego potwora – a więc zapewne i nie widzieli go na własne oczy, oczy uczonych.

Wziąwszy pod uwagę średni wynik spostrzeżeń wielokrotnych, odrzucając wątpliwe oznaczanie długości tego przedmiotu na dwieście stóp³, równie jak i przesadzone opisy dające mu milę⁴ szerokości, a trzy mile długości, można jednakże utrzymywać, że ta istota fenomenalna (jeśli tylko istniała rzeczywiście) przewyższała o wiele rozmiary dotąd przez ichtiologów⁵ stwierdzone.

Istnieniu jej jednak zaprzeczyć było niepodobna, bo fakt sam w sobie był niezaprzeczalny; wziąwszy zaś pod uwagę skłonność mózgu ludzkiego do cudowności⁶, zrozumiemy, jakie wrażenie na całym świecie sprawiło to nadzwyczajne zjawisko. Stanowczo trzeba się wyrzec zaliczenia go do rzędu bajek.

I w rzeczy samej, dnia 20 lipca 1866 roku parowiec „Governor Higginson” należący do towarzystwa Calcutta and Burmah Steam Navigation Company, spotkał tę masę poruszającą się w odległości pięciu mil⁷ na wschód od wybrzeży Australii. Kapitan Beker sądził zrazu⁸, że trafił na skalę nieznaną; już nawet zabierał się do oznaczenia dokładnego jej położenia, gdy nagle dwa słupy wody ze świstem tryskać zaczęły z tego niepojętego przedmiotu na wysokość stu pięćdziesięciu

¹ *armator* – właściciel okrętu.

² *szypier* – kapitan małego statku.

³ *stopa* – jednostka miary długości, równa ok. 30,48 cm.

⁴ *mila* – jednostka miary długości; daw. mila ang. wynosiła ponad 1600 m.

⁵ *ichtiologia* – nauka zajmująca się badaniem ryb.

⁶ *skłonność (...) do cudowności* – skłonność do wiary w cuda.

⁷ *mila morska* – jednostka miary długości (odległości), wynosząca ok. 1850 m.

⁸ *zrazu* – początkowo, w pierwszej chwili.

stóp. Jeśli zatem we wnętrzu tej skały nie istniało ukryte źródło gorące wybuchające periodycznie⁹, to okręt widocznie miał do czynienia z jakimś ssącym wodnym zwierzęciem, nieznanym dotąd, wyrzucającym przez swe nozdrza słupy wody zmieszanej z powietrzem i parą.

Takiż sam fakt zauważył dnia 23 lipca tego samego roku na morzach Oceanu Spokojnego „Cristobal Colon”, statek należący do West India and Pacific Steam Navigation Company. Tak więc ten nadzwyczajny wieloryb mógł się przenosić z miejsca na miejsce z szybkością zadziwiającą, bo w przerwie trzech dni tylko „Governor Higginson” i „Cristobal Colon” widziały go na dwóch punktach, o siedemset mil morskich od siebie oddalonych.

W piętnaście dni później, a o dwa tysiące mil stamtąd, „Helvetia”, okręt należący do Compagnie Nationale, i „Shannon” należący do Royal Mail, płynące z różnych stron po Oceanie Atlantyckim pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi, przy spotkaniu się zakomunikowały sobie nawzajem wiadomość o dostrzeżeniu potwora pod 42° 15' szerokości północnej, a 60° 35' długości na zachód od południka Greenwich. Z tych relacji obustronnych można było oznaczyć długość zwierzęcia co najmniej na trzysta pięćdziesiąt stóp angielskich¹⁰, gdyż „Shannon” i „Helvetia” były mniejsze od niego, jakkolwiek każdy z tych statków miał sto metrów długości. Największe wieloryby napotykane w okolicach Wysp Aleuckich, Kulammok i Umgullil nigdy nie miały więcej niż pięćdziesiąt sześć metrów długości, a i tej rzadko kiedy dochodziły.

Takie wieści nadchodzące jedne po drugich, nowe spostrzeżenia czynione na pokładzie zaatlantyckiego statku „Pereire”, protokół sporządzony przez oficerów francuskiej fregaty „La Normandie”, bardzo gruntowne spostrzeżenia zebrane przez sztab komandora Fitz-James na statku „Lord Clyde” poruszyły i zaniepokoiły opinię publiczną. W krajach lekkiego humoru żartowano ze zjawiska, ale kraje poważne i praktyczne jak Anglia, Ameryka, Niemcy, żywo się tym zajęły.

Potwór stał się modnym przedmiotem rozmowy we wszystkich wielkich miastach. Śpiewano o nim w kawiarniach, szydzono zeń w dziennikach, grano o nim sztuki w teatrze. Plotek różnorodnych było co niemiara. Gazety jedne za drugimi powtarzały baśnie o istotach urojonych i olbrzymich, począwszy od białego wieloryba, strasznego „Moby Dicka” z krańcowych stref północy, aż do bezmiernego krakena¹¹, którego macki mogły w głębiach oceanu zanurzyć statek o pięciuset tonach pojemności. Twierdzenie swe popierano powagą czasów starożytnych, zdaniem Arystotelesa i Pliniusza, którzy przypuszczali istnienie takich potworów; potem przytaczano norweskie powieści o biskupie Pontoppidan, relacje Pawła Heggede i nareszcie raporty pana Rarington, którego dobra wiara nie może być podejrzana, gdy twierdzi, że w 1857 roku, będąc na pokładzie okrętu „Castillan”, własnymi oczyma widział tego ogromnego węża, który do owego czasu przebywał tylko w morzach gazeciarskich dawnego „Constitutionnela”.

Wybuchła nieskończona polemika pomiędzy wierzącymi i niedowiarkami, w zgromadzeniach uczonych i dziennikach naukowych. „Kwestia potwora” zapalała umysły; dziennikarze bawiący się w naukę w walce ze swymi kolegami bawiącymi się w dowcip wylali morze atramentu podczas tej pamiętnej kampanii, a niektórzy nawet i kilka kropli krwi, bo od węża morskiego doszli do napaści osobistych, najbardziej znieważających.

Przez sześć miesięcy walka trwała zawzięcie. Na poważne artykuły Brazylijskiego Instytutu Geograficznego, berlińskiej Królewskiej Akademii Nauk, Brytyjskiego Towarzystwa Naukowego, Instytutu im. Smitha w Waszyngtonie, na dyskusje pism: „The Indian Archipelago”, „Cosmos” księdza Moignona, „Mitteilungen” Petermanna, na kroniki naukowe wielkich dzienników francuskich i zagranicznych drobna prasa odpowiadała z werwą niewyczerpaną. Dowcipni jej pisarze, parodiując zdanie Linneusza przytoczone przez przeciwników potwora, utrzymywali, że istotnie „przyroda nie tworzyła głupców” i zaklinali swych współczesnych, aby jej nie krzywdzili,

⁹ *periodycznie* – okresowo, co jakiś czas.

¹⁰ *trzysta pięćdziesiąt stóp angielskich* – około 106 metrów, licząc stopę angielską na 30,48 centymetrów.

¹¹ *kraken* – legendarny stwór morski przypominający kałamarnicę, znany również jako Triangul.

przypuszczając istnienie jakichś krakenów, węży morskich, Moby Dicków i innych mozolnie sfłodził nedorzecznosci morskich. Nareszcie w artykule pewnego z najmniejbezpiecznych dzienników satyrycznych, jeden z jego redaktorów rzucił się na potwora jak Hipolit, zadał mu cios ostatni i dobił wśród głośniejszych wybuchów śmiechu ogólnego. Dowcip pokonał naukę!

W pierwszych miesiącach 1867 roku kwestia zdawała się stanowczo pogrzebana raz na zawsze, gdy oto nowe fakty podane zostały do wiadomości publicznej. Nie chodziło już o rozwiązanie zagadnienia naukowego, ale o uniknięcie¹² rzeczywistego i bardzo groźnego niebezpieczeństwa. Potwór stał się teraz wysepką czy skałą podwodną, ale skałą uciekającą, nieuchwytną, nieokreśloną.

Dnia 5 marca 1867 roku okręt „Moravian” należący do Montreal Ocean Company, znajdując się nocną porą pod 27° 30' szerokości i 72° 15' długości, uderzył prawym bokiem swej rufy o skałę, której w tym miejscu żadna karta¹³ nie oznaczała. Party siłą wiatru i swoich czterechset¹⁴ koni parowych, pędził z szybkością trzynastu węzłów na godzinę¹⁵. Doskonalej więc tylko budowy spód „Moraviana”, jakkolwiek przedziurawiony przy tym wypadku, ocalał okręt od zatonięcia, wraz z 237 podróżnymi, których wiozł do Kanady.

Wypadek ten zdarzył się około piątej godziny z rana, właśnie gdy dzień poczynąło. Oficerowie służbowi rzucili się ku rufie i z największą uwagą badali powierzchnię oceanu, lecz nic nie dojrżeli, prócz silnego wiru jakby gwałtownie poruszonej wody, w odległości około 400 sążni¹⁶. Zapisano jak najdokładniej położenie tego miejsca i „Moravian” popłynął spokojnie w dalszą drogę. Czy uderzył o skałę podmorską, czy też o ogromny szczątek rozbitego statku – nie wiadomo. Gdy jednak zbadano spód parowca, okazało się, że kil jest częściowo strzaskany.

Zdarzenie to, jakkolwiek bardzo ważne, byłoby zapomniane jak tyle innych, gdyby się nie powtórzyło w trzy tygodnie później i nabrało ogromnego rozgłosu z powodu wziętości¹⁷ towarzystwa, którego statek był własnością.

Komuż jest nieznane nazwisko sławnego armatora angielskiego, Cunarda? Ten rozumny i zręczny przemysłowiec zaprowadził w 1840 roku komunikację pocztową pomiędzy Liverpoolem a Halifaxem obsługiwaną przez trzy drewniane okręty, których koła miały po 400 koni siły, a pojemność wynosiła po 1162 tony. W osiem lat potem tabor kompanii powiększył się o cztery okręty, każdy o sile 650 koni i 1820 tonach pojemności, a jeszcze w dwa lata potem przybyły znowu dwa statki, jeszcze większej siły i większej pojemności. W roku 1853 kompania Cunard, której odnowiono przywilej przywożenia depesz, powiększała kolejno swój tabor okrętami: „Arabia”, „Persia”, „China”, „Scotia”, „Java”, „Russia” – wszystkie największego kalibru, tak że oprócz słynnego „Great Eastern”, żaden większy od nich statek nie pruł fal oceanu. Tak więc w 1867 roku kompania posiadała już dwanaście okrętów, to jest osiem kołowych i cztery śrubowce.

Podaję te krótkie i pobieżne szczegóły dlatego, aby każdy wiedział, jak ważne jest znaczenie tej kompanii transportów morskich znanej światu całemu ze swej rozumnej i pożytecznej działalności. Nigdy przedsiębiorstwo żeglugi zaoceanicznej nie było jeszcze z większą poprowadzone zręcznością, nigdy interes lepszym nie był uwieńczony powodzeniem. Od dwudziestu sześciu lat okręty kompanii Cunard dwa tysiące razy przeplęły Atlantyk, a jednak ani jedna z tych podróży nie chybiła; opóźnienia nawet nigdy nie było. Nie tylko człowiek lub statek, ale nawet list żaden nigdy nie został zatracony. Dlatego też, pomimo potężnego współzawodnictwa Francji, podróżni przekładają linię kompanii Cunard nad inne, jak to się okazuje z urzędowych

¹² uniknięcie – dziś popr.: uniknięcie.

¹³ karta – tu: mapa.

¹⁴ czterechset – dziś popr.: czterystu.

¹⁵ z szybkością trzynastu węzłów na godzinę – węzeł: jednostka prędkości morskiej, wynosząca milę morską (ok. 1,8 km) na godzinę.

¹⁶ sążień – ok. 1,8 m.

¹⁷ wziętość – popularność.

dokumentów lat ostatnich. Po tym wszystkim nikt nie zadziwi się, że takiego rozgłosu nabrał wypadek jednego z najpiękniejszych parowców do tej kompanii należących.

Dnia 13 kwietnia 1867 roku, przy spokojnym stanie morza i wietrze sprzyjającym, okręt „Scotia” znajdował się pod 15° 12' długości i 45° 27' szerokości. Płynął on z szybkością trzynastu węzłów, popychany siłą swych tysiąca koni parowych. Koła jego rozbiły wodę morską z nadzwyczajną regularnością; zanurzał się na 6 metrów 70 centymetrów, a wypychał wody 6624 metry sześciennie.

O godzinie 4 minut 18 wieczorem, gdy podróżni zebrani byli w wielkim salonie, lekkie wstrząśnienie dało się uczuć od spodu, przy kole, z lewej strony okrętu.

Okręt nie uderzył, ale był uderzony przez coś ostrego i dziurawiącego. Potrącenie tak zdawało się lekkie, że nikt by na nie uwagi nawet nie zwrócił, gdyby nie krzyk palaczów okrętowych, którzy wpadli na pomost wołając: „Toniemy! Toniemy!”.

W pierwszej chwili podróżni bardzo się przejęli, ale uspokoił ich zaraz kapitan Anderson. I w rzeczy samej niebezpieczeństwo nie mogło być groźne, okręt bowiem podzielony był na siedem przedziałów szczelnymi przegrodami; w żadnym przeto wypadku woda nie mogła się wszędzie przedostać.

Kapitan Anderson udał się natychmiast na spód okrętu i stwierdził, że piąty przedział zalany był wodą, a gwałtowność jej przypływu dowodziła, że przedziurawienie musiało być dość znaczne. Na szczęście w tym przedziale nie było kotłów maszyny parowej, bo ogień byłby zalany bezzwłocznie.

Kapitan Anderson kazał jednemu z majtków nurkować dla rozpoznania uszkodzenia; po chwili dowiedziano się, że w zewnętrznym spodzie okrętu jest otwór szerokości dwóch metrów. Takiego otworu nie można było zatkać naprędcą; parowiec przeto, z kołami do połowy zanurzonymi, musiał dalszą odbywać drogę.

Znajdował się on wtedy o trzysta mil od przylądka Clear, a po trzech dniach opóźnienia żywo niepokojącego Liverpool, wpłynął nareszcie do portu kompanii.

Wtedy inżynierowie przystąpili do obejrzenia okrętu wprowadzonego do doku i własnym nie wierzyli oczom. Na półtrzecia¹⁸ metra głęboko pod linią wodną ujrzeli rozdarcie foremne w kształcie trójkąta równoramiennego, blacha żelazna była przekrajana tak czysto jak nożycami. Narzędzie więc, którego dziełem był ten otwór, musiało posiadać hart niezwykle, a przy tym musiało uderzyć z siłą ogromną, aby przedziurawić w ten sposób blachę grubości czterech centymetrów i cofnąć się gładko ruchem wstecznym – wprost niezrozumiałym.

Taki był ten ostatni fakt, pod którego wpływem zainteresowanie ogółu wzrosło znów do najwyższego stopnia. Od tej też chwili wszystkie wypadki na morzu niemające wyraźnie oznaczonej przyczyny szły na karb potwora. Fantastyczne to zwierzę musiało dźwigać odpowiedzialność za te wszystkie rozbicia, których liczba niestety jest bardzo znaczna, bo na trzy tysiące okrętów, o których zaginięciu corocznie donosi **Bureau Veritas**, liczba parowców i żaglowców uważanych za stracone z powodu zupełnego braku wiadomości o nich dochodzi do dwustu.

Odtąd tedy, słusznie czy niesłusznie, „potwora” obwiniano o ich zgubę; a ponieważ z tego powodu drogi pomiędzy różnymi lądami stawały się coraz mniej bezpieczne, głos przeto powszechny zaczął się stanowczo i kategorycznie domagać, aby nareszcie pomyślano o uwolnieniu mórz od tego strasznego wieloryba.

¹⁸ półtrzecia – dwa i pół.

Za i przeciw

W czasie, gdy zaszły te wypadki, powracałem z wycieczki naukowej do niezdrowych okolic Nebraski w Stanach Zjednoczonych, dokąd mnie rząd francuski wysłał razem z wyprawą jako nadetatowego profesora paryskiego Muzeum Historii Naturalnej. Po sześciu miesiącach spędzonych w Nebrasce, obładowany szacownymi zbiorami, przybyłem do Nowego Jorku pod koniec marca. A że odjazd mój do Francji oznaczony był dopiero na pierwsze dni maja, zająłem się więc uporządkowaniem moich bogactw mineralogicznych, botanicznych i zoologicznych, gdy oto zdarzył się wypadek z okrętem „Scotia”.

Znałem doskonale całą tę sprawę będącą na porządku dziennym i czy mogło być inaczej? Choć wertowałem wszystkie dzienniki europejskie i amerykańskie, to jednak nic mi one nie wyjaśniły. Tajemnica ta mocno mnie intrygowała. Nie mogąc sobie wyrobić żadnego zdania, bujałem myślą pomiędzy ostatecznościami. Że było coś, to najmniejszej nie ulegało wątpliwości, a niewierni mogli palcem dotknąć rany okrętu.

Gdym przybył do Nowego Jorku, kwestia ta była w fazie największego rozgorączkowania. Przypuszczenia o wyspie pływającej, o nieuchwytnej skale podmorskiej, przez nieudolne umysły podtrzymywane, stanowczo odrzucono. W rzeczy samej, jeśli ta skała we wnętrzościach swoich nie miała maszyny, to jakże mogła przenosić się z miejsca na miejsce i to z taką jeszcze szybkością nadzwyczajną?

Z tej samej przyczyny odrzucono myśl o jakimś pływającym szkielecie okrętu.

Pozostawały więc dwa tylko możliwe rozwiązania tej kwestii i z nich też powstały dwa różne stronnictwa: jedno utrzymujące, że to był potwór siły kolosalnej – inne, że to była łódź podwodna o ogromnej sile poruszającej.

Ostatnie przypuszczenie, jakkolwiek prawdopodobne, nie zgadzało się z poszukiwaniami, jakie robiono na obu półkulach. Trudno przypuszczać, aby człowiek prywatny miał na swe rozkazy taki przyrząd mechaniczny. Gdzie i kiedy kazałby go zbudować i jakim sposobem budowę tę mógłby utrzymać w tajemnicy?

Tylko rząd jakiś mógłby posiadać podobną maszynę niszczącą, a w tych nieszczęśliwych czasach, kiedy geniusz człowieka wysiła się na pomnożenie środków wojowania, bardzo było do prawdy podobne¹⁹, że jedno z państw postarało się o taką ogromną maszynę. Po *chassepotach*²⁰ torpedy, po torpedach tarany podmorskie (monitory), po czym reakcja. Przynajmniej tak się spodziewam.

Lecz i to przypuszczenie maszyny wojennej upadło znowu wobec oświadczeń urzędowych. Ponieważ zaś cierpiały na tym komunikacje zaoceaniczne, nie można było wątpić o szczerości rządów. Zresztą jak przypuścić nawet, aby budowa takiego statku podmorskiego mogła ująć uwadze publicznej? W takich okolicznościach zachowanie tajemnicy jest bardzo trudne dla człowieka prywatnego; dla państwa zaś, którego wszystkie czynności śledzone są przez potęgę nieprzyjacielem – niemożliwe.

Tak więc po poszukiwaniu w Anglii, Rosji, Prusach, Hiszpanii, Włoszech, Ameryce, a nawet i Turcji, przypuszczenie **monitora** podmorskiego całkiem upadło.

Wrócono więc do myśli o potworze, pomimo nieustannych żarcików, jakimi prześladowała tę myśl prasa brukowa i na tej drodze wyobrażenia zapuściła się w najniedorzeczniejsze marzenia ichtiologii fantastycznej.

¹⁹ *do prawdy podobne* – dziś: prawdopodobne.

²⁰ *chassepot* – fr. jednostrzałowy karabin iglicowy z drugiej połowy XIX wieku.

Po moim przybyciu do Nowego Jorku wiele osób zaszczyciło mnie zapytaniem o to zjawisko. Ogłosiłem we Francji drukiem dzieło *in quarto*²¹ w dwóch tomach pod tytułem: *Tajemnice wielkich głębin podmorskich*. Wobec tej książki, łaskawie przyjętej przez świat naukowy, uchodziłem za specjalistę w tej dość ciemnej części historii naturalnej. Zapytano mnie o zdanie. Dopóki mogłem, zaprzeczałem rzeczywistości faktu; lecz wkrótce przyparty, jak to mówią, do muru, musiałem wytłumaczyć się kategorycznie. Nawet „New York Herald” wezwał publicznie czcigodnego Piotra Aronnax'a, profesora Muzeum Paryskiego, do wydania jakiegokolwiek sądu w tej sprawie.

Ponieważ nie mogłem dłużej milczeć, rozważyłem przeto zagadnienie pod wszystkimi jego politycznymi i naukowymi względami i podaję tu zakończenie artykułu bardzo treściwego, jaki ogłosiłem w numerze z 30 kwietnia.

„Tak więc – pisałem – zbadawszy jeden po drugim wszystkie wnioski i odrzuciwszy wszelkie domniemania, wypada koniecznie przypuścić istnienie jakiegoś zwierzęcia morskiego z siłą nadzwyczajną.

Wielkie głębie Oceanu są nam całkowicie nieznane. Co się dzieje w tych przepaściach bezdennych? Jakie istoty mieszkają i mogą mieszkać na głębokości dwunastu czy piętnastu mil (angielskich) pod powierzchnią wód! Jaki jest organizm tych zwierząt? Zaledwie domyślać się tego można.

Jednakże zadanie przedstawione mi do rozwiązania może przybrać formę dylematu.

Albo znamy całą różnorodność istot zamieszkujących naszą planetę, albo ich nie znamy.

Jeśli ich nie znamy, jeśli przyroda ma jeszcze dla nas tajemnice co do ichtiologii, nic łatwiejszego jak przypuścić istnienie ryb lub wielorybów, gatunków, albo nawet rodzajów nowych, z organizacją prawdziwie głębinową, zamieszkujących warstwy niedostępne ołowiance²², sprowadzanych na wyższy poziom oceanu w pewnych długich przerwach, czy to przypadkiem, czy przez fantazję jakąś tych zwierząt.

Przeciwnie, jeśli znamy wszystkie gatunki żyjące, wypada koniecznie szukać zwierzęcia tego pomiędzy istotami morskimi już opisanymi, a w takim razie gotów jestem przypuścić istnienie **narwala olbrzymiego**. Narwał pospolity²³, czyli jednorożec morski, dochodzi często do sześćdziesięciu stóp długości.

Powiększcie pięć, dziesięć nawet razy rozmiary tego zwierzęcia, dajcie mu siłę odpowiednią i odpowiednią broń zaczepną, a będziecie mieli zwierzę żądane. Będzie ono miało rozmiary oznaczone przez oficerów statku „Shannon”, narzędzia odpowiednie zdolne do uszkodzeń takich jak przedziurawienie okrętu „Scotia” i siłę potrzebną do nadwyżżenia²⁴ steamera²⁵.

W rzeczy samej narwał uzbrojony jest pewnym rodzajem miecza z kości, albo halabardą²⁶, według wyrażenia niektórych przyrodników. Jest to ząb główny, jak stal twardy. Znalezione kilka takich zębów zagłębionych w ciałach wielorybów, z którymi narwał zwykle walczy. Niekiedy taki sam ząb narwala trudno bywało wyrwać ze spodniej części okrętu, którą wskroś takim zębem przeszył jak świdrem. Muzeum fakultetu medycznego w Paryżu posiada jeden taki ząb długości dwóch metrów i dwudziestu pięciu centymetrów, a szerokości czterdziestu ośmiu centymetrów w nasadzie.

²¹ *in quarto* – nazwa formatu arkusza papieru używanego do druku, odpowiadającego mniej więcej rozmiarom dzisiejszego A4 (210 na 297 mm).

²² *ołowianka* – sonda ręczna do pomiaru głębokości zbiornika; wyskalowana lina z ołowianym obciążnikiem na końcu

²³ *narwał pospolity* – gatunek walenia żyjący w wodach strefy arktycznej.

²⁴ *nadwyżżyć* a. *nadweryżyć* – osłabić, nadszarpnąć przez zbytni wysiłek; dziś tylko książk.

²⁵ *steamer* (ang.) – parowiec.

²⁶ *halabarda* – broń składająca się z siekiery, grotu i haka, umiejscowionych na długim drzewcu.

Otóż wyobraźcie sobie broń dziesięćkroć²⁷ silniejszą, zwierzę dziesięćkroć potężniejsze; wypuście je z szybkością dwudziestu mil na godzinę, pomnożcie jego masę przez jego szybkość, a otrzymanie wstrząśnienie zdolne wywołać katastrofę żadaną.

Dopóki zatem nie poweźmę innego przekonania, obstawać będę przy jednoroźcu morskim rozmiarów kolosalnych, uzbrojonym już nie halabardą, ale prawdziwą ostrogą jak fregaty opancerzone, których on i wielkość, i siłę poruszającą posiada.

Może być, że coś innego jeszcze się okaże, lecz póki to nie nastąpi, nie ma innego sposobu wytłumaczenia sobie tego niepojętego dotąd zjawiska”.

Przyznaję, że ostatnie słowa były tchórzostwem z mej strony, lecz chciałem, o ile się dało, osłonić swoją godność profesorską i nie dopuścić, aby Amerykanie śmiali się ze mnie – o co u nich nietrudno. Chciałem sobie zapewnić odwrót na wszelki wypadek, ale w gruncie rzeczy przypuszczałem istnienie „potwora”.

Artykuł mój gorące wywołał dyskusje, co zjednało mu wielki rozgłos; znalazła się pewna liczba stronników mego zdania, które zresztą, podając rozwiązanie zagadnienia, zostawiało obszerne i swobodne dla wyobraźni pole. Umysł ludzki lubi te imponujące wielkością pomysły o istotach nadprzyrodzonych, dla których w morzu najwłaściwsze zdaje się być miejsce – jedyne, w którym mogą rodzić się i wzrastać te olbrzymy, w porównaniu z którymi ziemskie słonie, nosorożce itd. są karłami. Wszak ogromna masa wód morskich unosi największe gatunki znanych zwierząt ssących²⁸ i może ukrywa mięczaki nieznanej wielkości, skorupiaki przerażające powierzchownością, np. homary stu metrów długości lub kraby (raki morskie) ważące po dwieście ton! Dlaczegoż by nie? Niegdyś zwierzęta ziemskie współczesne epokom geologicznym, czworonożne i czwororęczne, gady, ptaki, miewały olbrzymie rozmiary. Nadaną im przez Stwórcę formę kolosalną czas zmniejszył powoli; ale czemuż by morze w swych głębiach nieznanymi nie miało przechować tych okazów życia innego okresu, skoro samo nie ulega zmianom takim, jakim ulega jądro ziemi, ciągle się prawie zmieniające? Czemuż by morze nie miało przechować w swym łonie ostatnich odmian tych rodzajów tytanicznych, dla których wiek jest rokiem, tysiąc lat – wiekiem?

Otóż dałem się porwać marzeniom, których podtrzymywać nie powinienem. Precz z urojeniami, przez rozważanie czasów ubiegłych zmieniającymi się dla mnie w straszną rzeczywistość. Powtarzam raz jeszcze, ustaliła się była opinia co do natury owego zjawiska: przyjęto bez sporu naukę o istnieniu ogromnego stworzenia, niemającego nic wspólnego z bajecznymi węzami morskimi.

Lecz gdy jedni widzieli w tym tylko zagadnienie czysto naukowe, inni, pozytywniejsi²⁹, mianowicie Amerykanie i Anglicy, byli zdania, że trzeba ocean oczyścić z tego niebezpiecznego potwora i tym sposobem zapewnić swobodną żeglugę. Dzienniki przemysłowe i handlowe z tego głównie punktu kwestię traktowały. „Shipping and Mercantile Gazette”, „Lloyd”, „Paquebot”, „Revue Maritime et Coloniale” jako przychylne towarzystwom ubezpieczeń, które groziły podwyższeniem opłat – jednomyślnie oświadczyły się za tym.

Wobec takiego zdania opinii publicznej, Stany Zjednoczone pierwsze się oświadczyły z chęcią uczynienia jej zadość. W Nowym Jorku gotowano się do ścigania narwala. „Abraham Lincoln”, fregata szybka i opatrzona ostrogą, sposobila się do rychłego wypłynięcia na morze, a dowódca jej, Farragut, zbroił się na gwałt, biorąc wszystko, co mu było potrzebne z arsenałów stojących dla niego otworem.

Od chwili właśnie, w której decydowano się ścigać potwora, potwór nie pokazał się więcej! Tak to bywa zwykle. Przez dwa miesiące nikt o nim ani słyszał, żaden go okręt nie spotkał. Zdawało

²⁷ dziesięćkroć – dziś popr.: dziesięciokrotnie.

²⁸ zwierzęta ssące – dziś: ssaki.

²⁹ pozytywny – tu: o poglądach pozytywistycznych.

się, że jednorożec wiedział o spisku, jaki się knuje przeciw niemu. Bo też tyle o nim gadano, nawet za pomocą kabla telegrafu transatlantyckiego! Żartownisie utrzymywali, że ten mądry szpaczek pochwycił w drodze telegram i skorzystał z niego.

Fregatę uzbrojono jak na daleką wyprawę, zaopatrzone w ogromne do połowu przyrządy, lecz nie wiadano, w którą skierować ją stronę. Niecierpliwość wzrastała z dniem każdym – gdy wtem dnia 2 lipca dowiedziano się, że „Tampico”, parowiec krążący na linii z San Francisco w Kalifornii do Szanghaju, spostrzegł przed trzema tygodniami znowu potwora na północnych morzach Oceanu Spokojnego.

Wiadomość ta sprawiła nadzwyczajne wrażenie. Nie pozwolono Farragutowi na dwadzieścia cztery godziny zwłoki. Okręt jego zaopatrzone już był w żywność i węgiel. Z załogi nie brakowało ani jednego człowieka; pozostało tylko rozniecić ognie pod kotłami, wydobyć z nich parę i odpłynąć – czego też sam dowódca pragnął najgoręcej.

Na trzy godziny przed wyjściem „Abrahama Lincolna” z Brooklynu, otrzymałem list treści następującej:

Do pana Aronnax'a
Profesora Muzeum Paryskiego

Fifth Avenue Hotel

w Nowym Jorku.

Panie!

Jeśli pan chcesz uczestniczyć w wyprawie, którą przedsięwzięje „Abraham Lincoln”, rząd Stanów Zjednoczonych z przyjemnością będzie widział Francję reprezentowaną przez pana w tym przedsięwzięciu. Kapitan Farragut zatrzymał kajutę do pańskiego rozporządzenia.

Z głębokim szacunkiem

Sekretarz marynarki **J. B. Hobson.**

„Jak im się podoba”

Na trzy sekundy przed nadejściem listu pana J. B. Hobsona tyłem myślał o ściganiu jednorożca, co o poszukiwaniu północno-zachodniego przejścia podbiegunowego. W trzy sekundy po odczytaniu listu czcigodnego sekretarza marynarki byłem dostatecznie przekonany, że prawdziwym celem mojego życia było ściganie tego potwora i uwolnienie świata od niego.

A jednak powracałem z przykrych podróży, strudzony i spragniony wypoczynku. Tęskniłem za moim krajem, za moimi przyjaciółmi, za moim mieszkaniem w Ogrodzie Botanicznym, za moimi kasztanami i kochanymi zbiorami. Lecz nic nie mogło mnie zatrzymać. Zapomniałem o wszystkim: o trudach, przyjaciółach, zbiorach – i anim się zawahał przyjąć ofiarę rządu amerykańskiego.

Zresztą, myślałem sobie, wszystkie drogi prowadzą do Europy, jednorożec będzie zapewne tak grzeczny, że mnie doprowadzi do wybrzeży francuskich. Szlachetne to zwierzę da się złapać na morzach Europy dla mojej jedynie przyjemności – wskutek czego będę mógł złożyć w paryskim Muzeum Historii Naturalnej przynajmniej pół metra jego halabardy kościanej.

Tymczasem jednak wypadało szukać narwala w północnej stronie Oceanu Spokojnego, co równało się powrotowi do Francji drogą na antypody.

– Conseil! – zawołałem głosem niecierpliwym.

Conseil był to mój służący. Przywiązany ten chłopiec towarzyszył mi we wszystkich podróżach. Był to dzielny Flamandczyk, którego lubiłem i który mi się takim samym wywzajemniał uczuciem. Flegmatyk z natury, akuratny³⁰ z zasady, gorliwy z nawyknięcia, nie dziwił się nadzwyczajnościom życia; bardzo był biegły w robocie ręcznej, sposobny do wszystkiego i na przekór swemu imieniu nigdy nie radził³¹, nawet gdy tego żądano od niego.

Ocierając się o uczonych naszego wielkiego światka w Ogrodzie Botanicznym, Conseil nabył niejakiach wiadomości. Miałem w nim bardzo biegłego specjalistę w klasyfikacjach przedmiotów należących do historii naturalnej, przebiegającego ze zręcznością akrobaty całą drabinę działów, grup, gromad, rzędów, rodzin, rodzajów, podrodzajów, gatunków i odmian. Lecz tu był kres jego wiadomości. Klasyfikowanie było jego życiem, jego namiętnością, ale też nic więcej nie umiał. Bardzo biegły w teorii klasyfikacji, mało obeznany z praktyką, nie umiałby, jak sądzę, odróżnić potfisa od wieloryba; mimo to był dzielnym i zacnym chłopcem.

Conseil od dziesięciu lat jeździł wciąż ze mną wszędzie, gdzie mnie ciągnęło pragnienie nauki. Nigdy najmniejszej nie pozwolił sobie poczynić uwagi nad długością albo trudami podróży; ochotnie pakował walizę do jakiego bądź kraju, do Chin czy Kongo, choćby najodleglej³² położonego. Jechał wszędzie z jedną gotowością, a przy tym taki był zdrowy, że mógł sobie żartować ze wszystkich chorób; mięsy miał tęgę, ani śladu nerwów – rozumie się w znaczeniu moralnym.

Miał lat trzydzieści – a wiek ten do wieku jego pana miał się jak piętnaście do dwudziestu. Proszę mi darować, że w taki sposób przyznaję się do mojej czterdziestki.

Jednakże Conseil miał jedną wadę. Formalista zaciekle, mówił do mnie zawsze w trzeciej osobie, co w końcu nawet drażniło.

– Conseil! – zawołałem powtórnie, zabierając się ręką drżącą z niecierpliwości do przygotowań podróży.

Byłem pewien gotowości mego chłopca i zazwyczaj nie pytałem go nigdy, czy chce lub nie chce jechać ze mną w podróż; teraz jednak chodziło o wyprawę, która mogła się przeciągnąć bardzo długo, o przedsięwzięcie zuchwałe, bo o ściganie zwierzęcia, które mogło zatopić fregatę jak łupinę

³⁰ akuratny – dokładny.

³¹ na przekór swemu imieniu nigdy nie radził – conseil po francusku znaczy: rada.

³² najodleglej – dziś popr.: najdalej.

orzecha! Było się nad czym zastanowić, nawet człowiekowi najobojętniejszemu w świecie. Co też powie Conseil?

– Conseil! – krzyknąłem po raz trzeci.

Conseil wszedł.

– Czy to mnie wołają? – zapytał.

– Tak, mój chłopcze. Przygotuj wszystko do podróży. Za dwie godziny pojedziemy.

– Jak im się podoba – spokojnie odpowiedział Conseil.

– Nie mamy ani chwili do stracenia. Zapakuj w moją walizę wszystkie moje przybory podróżne, suknie, koszule, obuwie itd., nie przebierając, byle jak najprędzej.

– A zbiory ich? – zauważył Conseil.

– Później się nimi zajmiemy.

– Jak to! A archiotheria i hyracotheria³³, oreodonty³⁴, cheropotamy³⁵ i inne ich szkielety i kadłuby?

– Pozostaną w hotelu.

– A babirusa żywa³⁶?

– Żywić ją tu będą przez czas naszej nieobecności. Zresztą wydam rozporządzenia, aby nam do Francji wysłano całą naszą menażerię³⁷.

– Więc nie powrócimy do Paryża? – zapytał Conseil.

– I owszem... Tak... Tak... – odpowiedziałem, wykręcając się – ale musimy trochę zboczyć z drogi.

– Jak im się podoba.

– Oh! To będzie drobnostka! Trochę zboczymy z drogi, nic więcej! Pojedziemy na fregacie „Abraham Lincoln”.

– Jak im będzie najwygodniej – spokojnie odpowiedział Conseil.

– Ty wiesz, mój przyjacielu, tu chodzi o potwora... O sławnego narwala... Pojedziemy, aby oczyścić z niego morza! Autor dzieła *in quarto* w dwóch tomach: *O tajemnicach wielkich głębin podmorskich* nie może odmówić uczestniczenia w tej wyprawie zaszczytnej... Lecz niebezpiecznej zarazem! Nie wiadomo, dokąd jedziemy! Te bestie mogą być bardzo kapryśne! Lecz pomimo to pojedziemy, tym bardziej z tak dzielnym jak Farragut dowódcą.

– Co zrobią, to i ja uczynię – odpowiedział Conseil.

– Ale pomyśl dobrze, bo nie chcę nic ukryć przed tobą. Jest to jedna z tych podróży, z których się nie zawsze powraca.

– Jak im się podoba.

W kwadrans potem nasze pakunki były gotowe. Conseil tego się uwinął i pewien byłem, że nic nie brakowało, bo on koszule i suknie klasyfikował równie dobrze jak ptaki i zwierzęta ssące.

Windą hotelową zjechaliśmy do wielkiego przedsionka w antresoli³⁸, skąd kilka już na dół prowadziło tylko schodków. Zapłaciłem rachunek w kantorze zawsze napełnionym interesantami. Dałem zlecenie, aby wysłano do Paryża moje paki ze zwierzętami wypchanymi i zasuszonymi roślinami; zapewniłem otwarty kredyt dość znaczny dla babirusy i wraz z Conseil'em wskoczyłem do powozu.

³³ *hyracotheria* (łac. *Hyracotherium*) – daleki przodek konia.

³⁴ *oreodonta* – grupa przeżuwających ssaków kopytnych o krótkim pysku i kłach przypominających ciosy, tzw. przeżuwające świnię.

³⁵ *cheropotamy* – ssaki z rodziny świniowatych, zamieszkujące Afrykę i Madagaskar.

³⁶ *babirusa* – zwierzę z rodziny świniowatych żyjące dziko na wyspach Indonezji, wyróżniające się gęstą sierścią (czarną lub złocistą) oraz okazałymi ciosami.

³⁷ *menażeria* – dzikie zwierzęta w klatkach pokazywane publiczności.

³⁸ *antresola* – półpiętro, zwykle między parterem a pierwszym piętrem.

Za dwadzieścia franków powieziono nas z Broadway drogą na Union Square, Czwartą Avenue do rogu Bovery Street, skąd przez Katrine Street do 34 przystani. Tam powóz nasz wjechał na prom i dotarliśmy w ten sposób do Brooklynu, wielkiego przedmieścia Nowego Jorku rozłożonego na lewym brzegu rzeki Wschodniej³⁹, a w kilka minut potem byliśmy w przystani, gdzie „Abraham Lincoln” otworami dwóch swoich kominów wyrzucał gęste kłęby czarnego dymu.

Bagaż nasze bezzwłocznie przeniesione zostały na pomost fregaty. Wskoczyłem na pokład i zapytałem o dowódcę Farraguta. Jeden z majtków zaprowadził mnie do dziarskiego oficera, który, wyciągając rękę, rzekł:

– Pan Piotr Aronnax?

– Ja sam – odpowiedziałem. – Dowódca Farragut?

– W swojej własnej osobie. Witam pożądanego gościa w osobie szanownego profesora. Kajuta pańska jest na pańskie usługi.

Nie chcąc kapitanowi przerywać zatrudnień jego przed odjazdem, poprosiłem, aby mnie zaprowadzono do przeznaczonej mi kajuty.

„Abraham Lincoln” i wybrany był doskonale, i bardzo dobrze zaopatrzony, odpowiednio do swego przeznaczenia. Była to fregata wielkich rozmiarów, z przyrządami przegrzewającymi parę, które pozwalały doprowadzić jej ciśnienie do siedmiu atmosfer. Pod takim ciśnieniem średnia szybkość fregaty wynosiła osiemnaście i trzy dziesiąte mili na godzinę; prędkość to bardzo znaczna, ale jeszcze niedostateczna do walki z olbrzymim potworem.

Urządzenie wewnętrzne fregaty odpowiadało jej przymiotom⁴⁰ żeglugowym. Byłem bardzo zadowolony z mojej kajuty, położonej na rufie w obrębie obwodu oficerskiego.

– Wygodnie nam tu będzie – rzekłem do Conseil'a.

– Tak wygodnie, z przeproszeniem pana – odpowiedział Conseil – jak rakowi pustelnikowi w ślimaczej skorupie.

Pozostawiłem Conseil'a zajętego naszymi tłumokami⁴¹, a sam wyszedłem na pomost, aby się przypatrzeć przygotowaniom do podróży.

W tej chwili kapitan Farragut kazał odwiązać ostatnie łańcuchy przytrzymujące okręt w przystani Brooklynu. Tak więc, gdybym się był spóźnił o kwadrans, mniej może nawet, byłbym stracił sposobność odbycia tej wyprawy nadzwyczajnej, nadprzyrodzonej, nieprawdopodobnej, której opis, jakkolwiek rzetelny, może obudzić niedowierzanie.

Kapitan nie chciał tracić ani jednego dnia, ani jednej godziny, aby jak najprędzej dostać się na morza, na których spodziewano się spotkać potwora. Kazał zawołać głównego mechanika.

– Czy mamy dosyć pary? – zapytał.

– Tak jest – odpowiedział mechanik.

– *Go ahead*⁴²! – zawołał kapitan.

Na ten rozkaz przesłany maszynie za pomocą ścieśnionego powietrza, maszyniści puścili parę, która ze świstem wpadła do szybrów⁴³ wół otwartych. Długie, poziome drągi tłoków jęknęły, ruszyły z miejsca tryby wału, a śmigła śruby poczęły uderzać o fale ze wzrastającą szybkością i „Abraham Lincoln” poważnie⁴⁴ wypłynął, otoczony mnóstwem małych statków parowych zapchanych ciekawymi, którzy go odprowadzali.

Przystań Brooklynu i cała część Nowego Jorku leżąca nad brzegiem rzeki Wschodniej, roily się od tłumów ludności. Pół miliona piersi wyrzuciło w powietrze trzykrotne „hurra!”. Tysiące

³⁹ rzeka Wschodnia – West River.

⁴⁰ przymioty – cechy; zalety.

⁴¹ tłumok – tobolek; pakunek.

⁴² *go ahead* (ang.) – naprzód.

⁴³ szyber – zasuw służąca do regulacji ciągu powietrza w kanale kominowym.

⁴⁴ poważnie – tu: majestatycznie.

chustek unoszących się ponad tym tłumem, powiewały ku fregacie aż do jej przybycia na wody Hudsonu, to jest do krańca tego przedłużonego półwyspu, który tworzy miasto Nowy Jork.

Wtedy fregata, płynąc od strony New Jersey wzdłuż prawego brzegu rzeki, cudnymi zasianego willami, przeszła pomiędzy fortami, które powitały ją wystrzałem swych dział największego kalibru. „Abraham Lincoln” odpowiedział trzykrotnym podniesieniem i opuszczeniem flagi amerykańskiej, której trzydzieści dziewięć gwiazd błyszczało na wierzchołku tylnego masztu. Potem, zwalniając bieg dla wypłynięcia na kanał zachodzący w zatokę utworzoną przez cypel Sandy Hook, przesunął się raz jeszcze około tej ławy piaszczystej, z której biegło pożegnanie tysiąca widzów.

Godzina trzecia wybiła. Pilot wskoczył do swego czółna i podpłynął do goeletki⁴⁵ oczekującej nań pod wiatrem. Wówczas ogień podsycono, śruba uderzyła o fale jeszcze gwałtowniej; fregata popłynęła wzdłuż niskiego i żółtego brzegu Long Island, a o godzinie ósmej wieczorem całą siłą pary pędziła już po szarych wodach Atlantyku.

⁴⁵ *goeletka* – mała żagłówka.

Ned Land

Kapitan Farragut dzielnym był marynarzem, godnym fregaty, którą dowodził; on i jego okręt – była to jedna całość, jedna dusza. O potworze nie wątpił ani na chwilę i na pokładzie swego statku najmniejszego nie dozwalał zaprzeczenia jego istnieniu. Pojmował potwora jak Żydzi Lewiatana, wiarą, a nie rozumem. Potwór istniał według niego, on więc przysiągł, że uwolni morza od potwora. Był to pewien rodzaj kawalera rodyjskiego⁴⁶, jakiś Dieudonné de Gozon idący na spotkanie węża niszczącego jego wyspę. Albo kapitan Farragut zabije narwala, albo narwal zabije kapitana Farraguta. Inaczej być nie mogło według jego rozumienia.

Oficerowie załogi podzielali zdanie swego zwierzchnika. Trzeba ich było słyszeć jak rozmawiali, sprzeczali się, obliczali różne szanse spotkania z potworem; jak rozważali niezmierną oceanu rozległość. Niejeden z nich wchodził na maszt strażniczy, by pełnić tam z dobrej woli służbę, którą by przeklinał w każdym innym razie. Przez cały dzień majtkowie wdrapywali się na maszty, jakby im pomost okrętowy piekł nogi; nie mogli wytrzymać na miejscu. A jednak „Abraham Lincoln” nie pruć jeszcze dotąd podejrzanych wód Oceanu Spokojnego.

Co do załogi, ta z upragnieniem czekała na spotkanie jednorożca, aby go ułować, wciągnąć na pokład, obedrzeć ze skóry i poćwiartować. Z natężoną uwagą obserwowała morze. Zresztą kapitan Farragut przyrzekał 2 000 dolarów temu z chłopców okrętowych, majtków, podoficerów lub oficerów, który pierwszy dostrzeże i wskaże potwora. Łatwo zgadnąć jak się oczy wyteęzały na pokładzie „Abrahama Lincolna”.

Co do mnie, przyznam się, że nie ustępowałem innym i jak wszyscy codziennie czuwałem. Fregatę najwłaściwiej byłoby teraz nazwać „Argusem”. Sam tylko Conseil obojętnością swoją stanowił rażącą sprzeczność z zapalem ożywiającym wszystkich.

Powiedziałem już, że kapitan Farragut starannie zaopatrzył swój okręt we wszystko, co było potrzebne do złowienia olbrzymiego wieloryba. Statek płynący umyślnie na połów wielorybów nie mógłby lepiej być uzbrojony. Posiadaliśmy wszystkie przyrządy znane, od harpuna rzucanego ręką, aż do działek wyrzucających strzały haczykowe i kule wybuchające. Na przednim pokładzie stało wielkie odtylcowe działo udoskonalone, o bardzo grubych ścianach a bardzo wąskim wylocie, którego model miał być wystawiony na Wystawie Powszechnej w 1867 r. Szacowne to narzędzie pochodzenia amerykańskiego wyrzucało pocisk stożkowy ważący cztery kilogramy na odległość szesnastu kilometrów.

A zatem „Abraham Lincoln” dobrze był zaopatrzony we wszystkie narzędzia niszczące: ale, co najważniejsza, na pokładzie jego znajdował się Ned Land, król oszczepników.

Ned Land miał lat około czterdziestu. Był to mężczyzna ogromnego wzrostu (przeszło sześć stóp angielskich⁴⁷), silnie zbudowany, o twarzy poważnej; mało mówił, bywał niekiedy gwałtowny, a wpadał w szalony gniew, gdy mu się sprzeciwiano. Cała postać jego zwracała na siebie uwagę, a wejrzenie⁴⁸ jego dziwnie było przenikliwe.

Sądzę, że kapitan Farragut rozumnie postąpił, przyjmując tego człowieka na pokład swej fregaty. W obecnej wyprawie ręka jego i oko starczyły za całą załogę. Nie mógłbym go z niczym lepiej porównać jak z potężnym teleskopem będącym zarazem armatą, w każdej chwili gotową do strzału.

Kanadyjczyk znaczy toż samo prawie co Francuz i widać, że narodowość nęciła go ku mnie, bo pomimo swej małomówności Ned Land okazywał mi wyraźną sympatię. Rozmawiał ze mną często i wtedy słuchałem bacznie owego języka, którym mówił jeszcze Rabelais, a który dotąd

⁴⁶ *kawaler rodyjski* – członek zakonu rycerskiego powołanego do życia w XII w. w Jerozolimie.

⁴⁷ *sześć stóp angielskich* – ok. 180 cm.

⁴⁸ *wejrzenie* – spojrzenie.

jest w użyciu w niektórych prowincjach Kanady. Rodzina oszczepnika pochodziła z Quebecu i stanowiła pokolenie śmiałych rybaków w owej już epoce, gdy to miasto należało jeszcze do Francji.

Z wolna Ned zasmakował w rozmowie i lubił słuchać opowiadań jego o wypadkach, których doznał na morzach podbiegunowych. Z wdziękiem naturalnej poezji opisywał on swoje łowy i walki; opowiadania jego przybierały formę epiczną i zdawało mi się, że słyszę jakiegoś Homera kanadyjskiego śpiewającego *Iliadę* krain leżących na krańcu północy.

Opisuję tu śmiałego towarzysza takim, jakim go znałem rzeczywiście; bo chociażśmy się postarzeli, pozostaliśmy przyjaciółmi – przyjaźń zaś nasza zrodziła się i zawiązała wśród najstraszniejszych wypadków i okoliczności. Chciałbym żyć sto lat jeszcze, żeby cię dłużej wspominać, dzielny mój Nedzie!

Zobaczmyż, jakie było zdanie Neda Landa o potworze morskim. Nie bardzo on wierzył w jednorożca i sam jeden ogólnej pod tym względem na statku nie podzielał opinii; unikał nawet starannie rozmowy o tym przedmiocie, w którym jednakże pragnąłem go wy badać.

Pewnego ślicznego wieczora, 30 lipca, to jest w trzy tygodnie po naszym wyjeździe, fregata znajdowała się na wysokości Przylądka Białego, o trzydzieści mil od wybrzeży patagońskich. Minęliśmy już Zwrotnik Koziorożca, a Cieśnina Magellana była oddalona od nas tylko o 700 mil w kierunku południowym. Za tydzień „Abraham Lincoln” pruć będzie fale Oceanu Spokojnego. Ja i Ned Land siedzieliśmy na rufie, rozmawiając o tym i owym, spoglądając na to tajemnicze morze, którego głębin dotąd oko ludzkie zbadać nie zdołało. Naturalnie naprowadziłem rozmowę na olbrzymiego jednorożca, zastanawiając się nad wszystkimi widokami powodzenia naszej wyprawy; widząc, że Ned pozwala mi mówić a sam uporczywie zachowuje milczenie, chciałem go zmusić do odpowiedzi.

– Jak to być może, Ned – zapytałem – abyś nie był przekonany o istnieniu potwora, którego ścigamy? Czy masz jakieś własne powody do niewierzenia?

Wielorybnik patrzył na mnie przez chwilę, zanim odpowiedział; uderzył się ręką w szerokie czoło, co zresztą czynił dosyć często, przymrużył oczy, jakby dla zebrania myśli – i nareszcie rzekł:

– Być może, panie Aronnax.

– Jednakże, mój drogi, jako wielorybnik z rzemiosła, oswojony z wielkimi zwierzętami ssącymi żyjącymi w morzu – ty, którego wyobrażenia z łatwością powinna się zgodzić na przypuszczenie istnienia wielorybów niezmierniej wielkości, moim zdaniem, powinien być najmniej ze wszystkich okazywać niedowierzania i pod tym względem.

– W tym właśnie mylisz się, panie profesorze – odrzekł Ned. – Pospółstwo może wierzyć w komety nadzwyczajne przestwór przebiegające lub w istnienie potworów przedpotopowych zaludniających wnętrze kuli ziemskiej – lecz ani astronom, ani geolog nie uwierzy w takie chimery⁴⁹. Tak samo i wielorybnik. Ścigałem już mnóstwo wielorybów wszelkiego gatunku; nachwytałem i nazabijałem ogromną liczbę; lecz jakkolwiek dzielnie były uzbrojone, nie spotkałem takiego, co by ogonem swym lub zębem mógł uszkodzić żelazne okucie okrętu.

– A jednakże wymieniają statki przebite na wskroś zębem narwala.

– Statki drewniane, być może – odpowiedział Kanadyjczyk – a i tych nawet nie widziałem jeszcze. Więc dopóki mieć nie będę dostatecznie przekonującego dowodu, zaprzeczam, aby wieloryb, potfisz lub jednorożec morski mogły dokazać czegoś podobnego.

– Posłuchaj mnie, Ned...

– Nie, panie profesorze, nie! Zrobię co chcesz, wyjąwszy to. Czy czasem nie zechcesz mi pan mówić o ośmionogu⁵⁰ olbrzymim?

– Bynajmniej, ośmionóg jest mięczakiem, a sama już ta nazwa wskazuje wątłość jego ciała. Choćby miał pięćset stóp długości, ośmionóg nie należy do działu kręgowych, nie może być

⁴⁹ chimera – urojenie; uluda.

⁵⁰ ośmionóg – dziś: ośmiornica.

niebezpieczny dla takich okrętów jak „Scotia” lub „Abraham Lincoln”. Trzeba więc do rzędu bajek zaliczyć wszystkie świetne czyny krakenów i innych potworów tego rodzaju.

– A więc, panie przyrodniku – rzekł Ned Land tonem sarkastycznym – obstajesz pan przy swoim i przypuszczasz istnienie jakiegoś ogromnego wieloryba?

– Tak jest, Ned, powtarzam ci to z przekonaniem opartym na logice faktów. Wierzę w istnienie zwierzęcia ssącego potężnie zbudowanego, z rodzaju grzbietnych jak wieloryby, potfisz lub delfiny, uzbrojonego zębem czy rogiem, którego siła niszcząca jest straszna.

– Hm! – mruknął wielorybnik, potrząsając głową jak człowiek niedający się przekonać.

– Zgodzisz się na to, mój zacny Kanadyjczyku – mówiłem dalej – że jeśli takie zwierzę istnieje, jeśli zamieszkuje głębie oceanu, jeśli przebywa w płynnych warstwach o kilka mil pod powierzchnią wód, to zapewne musi posiadać organizm silny, z niczym porównać się niedający.

– A na cóż mu ten organizm? – zapytał Ned.

– Bo trzeba siły niezmiernej, aby się utrzymać w warstwach tak głębokich i oprzeć się ich ciśnieniu.

– Doprawdy? – rzekł Ned, patrząc na mnie przymrużonym okiem.

– Tak jest i bez trudności cyframi ci tego dowiodę.

– Cyframi! – zawołał Ned. – Wiem, że papier jest cierpliwy i cyfry na nim ustawiać można jak się komu spodoba.

– W interesach, mój drogi – ale nie w matematyce. Posłuchaj. Przypuśćmy, że ciśnienie jednej atmosfery wyrażać się będzie przez ciśnienie kolumny wody 32 stóp wysokości. W rzeczywistości kolumna wody byłaby mniej wysoka, ponieważ idzie tu o wodę morską, której gęstość, a więc i ciężar, jest większa, aniżeli wody słodkiej. Otóż, gdy się zanurzasz, to ile razy po trzydzieści dwie stopy wody jest nad twoim ciałem, tyle atmosfer ciało twoje wytrzyma ciśnienia; to jest jeden kilogram na każdy centymetr kwadratowy jego powierzchni. Stąd wynika, że przy zanurzeniu się na trzysta dwadzieścia stóp, ciśnienie dochodzi do dziesięciu atmosfer; przy trzech tysiącach dwustu stopach – stu atmosfer; a przy trzydziestu dwóch tysiącach stóp – tysiąca atmosfer. Inaczej tak by to można wyrazić: jeśli zdołasz dojść do takiej głębi oceanu, to wówczas każdy centymetr kwadratowy powierzchni twego ciała wytrzyma ciśnienie tysiąca kilogramów. A wiesz, mój drogi, ile powierzchnia twego ciała może mieć centymetrów kwadratowych?

– Ani się tego domyślam, panie Aronnax.

– Około siedemnastu tysięcy.

– Tylko tyle?

– A ponieważ ciśnienie atmosferyczne jest cokolwiek większe niż waga jednego kilograma na centymetr kwadratowy, więc twoje siedemnaście tysięcy centymetrów kwadratowych wytrzymują w tej chwili ciśnienie siedemnastu tysięcy pięciuset sześćdziesięciu ośmiu kilogramów.

– I ja ani wiem o tym?

– A ty ani wiesz o tym. I jeśli nie jesteś zdruzgotany takim ciśnieniem to tylko dlatego, że powietrze z równym ciśnieniem przenika wewnątrz twego ciała. Stąd równowaga zupełna pomiędzy ciśnieniem wewnętrznym i zewnętrznym, które się zobojętniają i to ci pozwala wytrzymać je bez trudności. Lecz w wodzie rzecz całkiem inna.

– Tak jest, rozumiem – odpowiedział Ned, słuchając uważnie – bo woda otacza mnie, a nie przenika.

– Właśnie dlatego, Ned. Otóż o trzydzieści dwie stopy pod powierzchnią morza musiałbyś wytrzymać ciśnienie siedemnastu tysięcy pięciuset sześćdziesięciu ośmiu kilogramów; o trzysta dwadzieścia stóp – dziesięć razy większe ciśnienie, czyli sto siedemdziesiąt pięć tysięcy sześćset kilogramów, o trzy tysiące dwieście stóp – sto razy większe ciśnienie, czyli tysiąc siedemset pięćdziesiąt sześć tysięcy osiemset kilogramów; o trzydzieści dwa tysiące stóp nareszcie – tysiąc razy większe ciśnienie, czyli siedemnaście milionów pięćset sześćdziesiąt osiem tysięcy

kilogramów. To jest, że byłbyś zgnieciony i spłaszczony jak gdyby cię wyciągnięto z prasy hydraulicznej.

– Do licha! – krzyknął Ned.

– Otóż, mój zacny wielorybniku, jeśli zwierzęta długości kilkuset stóp i odpowiedniej objętości przebywają w podobnych głębiniach, to gdy powierzchnia ich ciała wynosi miliony centymetrów kwadratowych, wytrzymywać one muszą miliardy kilogramów ciśnienia. Oblicz więc, jaki musi być opór ich szkieletu kostnego i jaka potęga ich organizmu, aby takiemu ciśnieniu oprzeć się zdołały.

– Muszą chyba – odpowiedział Ned Land – być wyrobione z blach żelaznych ośmiocalowych jak fregaty opancerzone.

– Tak jest, mój kochany! Pomyśl zatem o zniszczeniu, jakie może wyrządzić taka masa rzucająca się na okręt z szybkością pociągu pośpiesznego.

– Tak... Rzeczywiście... Być może... – bąkał Kanadyjczyk zachwiany moim rachunkiem, ale nie chcąc się poddać.

– Więc cię przekonałem?

– Przekonałeś mnie o jednej rzeczy, panie przyrodniku; że jeśli podobne istoty istnieją w głębi mórz, to koniecznie muszą być tak silne jak mówisz.

– Ale jeśli nie istnieją, wielorybniku, to czymże usprawiedliwisz wypadek, jaki się zdarzył okrętowi „Scotia”?

– To może być... – odparł Ned wahająco.

– Cóż może być?

– Że... To nieprawda! – dokończył Kanadyjczyk, powtarzając mimowiednie słynną odpowiedź pana Arago.

Lecz ta odpowiedź dowodziła tylko uporu wielorybnika i nic więcej. Tego dnia nie nalegałem już więcej. Wypadek z okrętem „Scotia” nie ulegał najmniejszej wątpliwości; trudno bowiem zaprzeczyć istnieniu ogromnej dziury, którą zatkać było potrzeba. Otóż ta dziura nie powstała sama z siebie; a ponieważ ani skały podmorskie, ani pale podwodne nie przedziurawiły spodu tego okrętu, więc musiał go przedziurawić ostry ząb zwierzęcia.

Według mego zdania i z powodów wyżej przytoczonych, zwierzę to należało do działu kręgowych, do klasy ssących, do grupy rybokształtnych, a ostatecznie przeto do rzędu wielorybów. Pod względem rodziny mógł to być wieloryb, potfisz lub delfin, co zaś do rodzaju i gatunku to się dopiero wyjaśni. Dla rozwiązania tej kwestii potrzeba pokrajać tego nieznanego potwora; aby zaś go pokrajać, trzeba go zabić, co już należy do naszego oszczepnika Neda Landa; aby zaś zabić potwora, trzeba go zobaczyć, a to już rzecz załogi; aby wreszcie zobaczyć go, trzeba go spotkać, a to już będzie rzeczą wypadku.

Na los szczęścia

Przez pewien czas nic się w podróży naszej nie zdarzyło godnego uwagi, lecz nadeszła okoliczność, która dała nam poznać zadziwiającą zręczność Neda Landa i nauczyła nas, jaką ufność w nim pokładać można.

Na otwartym morzu, naprzeciwko Wysp Malwińskich, fregata napotkała wielorybników amerykańskich, którzy nas upewnili, że nic nie wiedzą o narwale. Lecz jeden z nich, kapitan okrętu „Monroe”, wiedząc, że Ned Land znajduje się na pokładzie naszego statku, prosił go o pomoc w złowieniu wieloryba, którego spostrzeżono z daleka. Kapitan Farragut, pragnąc dać oszczepnikowi sposobność do okazania swej sprawności, pozwolił mu udać się na pokład „Monroe”. Przypadek tak dobrze posłużył naszemu Kanadyjczykowi, że zamiast jednego wieloryba, w dwa wbił oszczepy – jednemu w samo serce, a drugiemu w bok, dopędziwszy go po kilku minutach pogoni.

Doprawdy, jeśli nasz potwór dostanie się kiedyś pod harpun Neda Landa, to nie ręczę za jego całość.

Fregata płynęła wzdłuż brzegu południowo-wschodniego Ameryki z wielką szybkością. Dnia 3 lipca byliśmy przy wejściu do Cieśniny Magellana, na wysokości Przylądka Dziewic. Lecz kapitan Farragut nie chciał płynąć przez to kręte przejście; kazał zawrócić tak, abyśmy opłynęli Przylądek Horn.

Cała załoga jednoznacznie⁵¹ uznała słuszność tego rozporządzenia. Bo w rzeczy samej, czyż podobna było przepuścić nawet, abyśmy spotkać mogli narwala w tej wąskiej cieśninie? Majtkowie utrzymywali, że nie przesunąłby się tamtędy, gdyż był „za wielki na to”.

Dnia 6 lipca około trzeciej po południu „Abraham Lincoln” opłynął o piętnaście mil na południe tę samotną wysepkę, tę skałę zapomnianą na krańcu lądu amerykańskiego, której marynarze holenderscy narzucili nazwę swego miasta rodzinnego, nazywając ją Przylądkiem Horn. Droga skierowana została na północo-zachód i następnego dnia śruba fregaty rozbijała już wody Oceanu Spokojnego.

– Bacność! Uwaga! – powtarzali majtkowie fregaty.

I rzeczywiście, wytężone oko całej ludności okrętowej nie spoczęło ani na chwilę, pomagając sobie jeszcze szklami lunet i perspektyw; obdarzeni darem widzenia w ciemności mieli tym więcej widoków pozyskania nagrody przyrzeczonej.

I ja także natężyłem wzrok i uwagę nie mniej od innych, chociaż nie nęcił mnie powab pieniędzy. Poświęcając zaledwie kilka minut na posiłek i kilka godzin na odpoczynek, obojętny na deszcz lub upał słoneczny, nie opuszczałem prawie pomostu okrętowego. Oparty o parapet dzioba lub na pomoście rufy fregaty, chciwym wzrokiem pożerałem białe smugi fal zaścielające morze jak oko sięgało. Ileż to razy podzielałem wzruszenie sztabu lub załogi, gdy przypadkiem czarniawy grzbiet wieloryba wychylił się ponad fale! Pomost fregaty zapełniał się ludźmi; ze wszech stron tłumnie zbiegali się oficerowie i majtkowie; każdy zadyszany, okiem niespokojnym śledził wieloryba. Ja patrzyłem, jakbym oczy chciał wypatrzyć, a Conseil tymczasem, ze zwykłą sobie flegmą, powtarzał tonem spokojnym:

– Gdyby chcieli mniej trochę wytrzeszczać oczy, to lepiej i więcej widzieć by mogli.

Ale próżne to były wzruszenia! „Abraham Lincoln” zmieniał kierunek, pędził na zwierzę wskazane i spotykał zwykłego wieloryba lub potfiszę uciekającego wśród potoków przekleństw.

Pogoda sprzyjała nam ciągle, podróż odbywała się w najlepszych warunkach. A choć była to zła pora roku półkuli południowej, bo lipiec tych stron odpowiada naszemu styczniowi – to jednak morze ciągle było spokojne i łatwo się dało ogarnąć okiem na znacznej przestrzeni wkoło okrętu.

⁵¹ *jednoznacznie* – jednomyślnie.

Ned Land wciąż uporczywie nie wierzył w narwala; udawał nawet, że wcale nie pilnuje powierzchni morza, chyba że dostrzeżono wieloryba. A jednakże jego cudowna potęga wzroku mogła wyświadczyć wielkie usługi. Lecz zacięty Kanadyjczyk po osiem godzin na dzień spał lub czytał w swej kajucie. Wyrzucałem mu nieraz jego obojętność.

– Tam nie ma nic, panie Aronnax, a gdyby i było jakieś zwierzę, jakże dostrzec je mamy? Czy nie płyniemy na los szczęścia? Widziano, jak słychać, tego potwora na morzach Oceanu Spokojnego; gotowym temu wierzyć, ale dwa miesiące upłynęło już od tego spotkania, a wnosząc z temperamentu waszego narwala, nie lubi on długo przebywać w jednych okolicach. Posiada niezmierną łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce. Pan to lepiej ode mnie wiesz, panie profesorze; natura nic nie robi na opak i z pewnością zwierzęciu powolnemu z natury nie dałaby łatwości prędkiego poruszania się, gdyby mu to nie było koniecznie potrzebne. Jeżeli więc zwierzę istnieje nawet, to jest już bardzo daleko!

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. W rzeczy samej pędziliśmy na oślep. Ale cóż było robić? Dlatego też bardzo niepewne mieliśmy widoki powodzenia – a jednak nikt nie wątpił o dobrym skutku i każdy z majtków w zakład by poszedł, że niezadługo spotka się z narwalem.

Dnia 20 lipca pod 105 stopniem długości przerzneliśmy Zwrotnik Koziorożca, a 27 tego miesiąca przebyliśmy równik na 110 południku. Zanotowawszy to położenie, fregata zwróciła się bardziej na zachód i wpłynęła na środek Oceanu Spokojnego. Kapitan Farragut myślał nie bez słuszności, że lepiej pilnować głębin, oddalając się od lądów i wysp, których i zwierzę unikało widocznie, „zapewne dlatego, że mało tam było wody”, jak mówił sternik. Fregata skrzyła na pełny ocean i płynąc wzdłuż wysp Paumotu, Markizy i Sandwich (Hawajskich), przecięła Zwrotnik Raka pod 132 stopniem, po czym skierowała się ku Morzu Chińskiemu.

Byliśmy wreszcie w okolicy ostatnich igraszek potwora! Na pokładzie okrętu panował nadzwyczajny niepokój. Serca wszystkich były ogromnie, gotując sobie nieunikniony anawryzm⁵². Cała załoga uległa nerwowej gorączce, której opisać nie zdołam. Nikt nie jadł, nikt o spaniu nie chciał myśleć. Łada pomyłka, przywidzenie, optyczne złudzenie majtko pełniącego straż na maszcie, wprowadzały osadę w ruch, w szaleństwo, w jakiś stan drżenia; powtarzało się to ze dwadzieścia razy na dzień i zbyt gwałtownie oddziaływało na wszystkich, aby nie miała nastąpić wkrótce reakcja.

I rzeczywiście reakcja nastąpiła. Przez trzy miesiące – trzy miesiące, których dzień każdy był wiekiem – „Abraham Lincoln” przebiegł wszystkie północne wody Oceanu Spokojnego, goniąc za wszystkimi wskazanymi mu wielorybami, zbaczając często z drogi, przeskakując od jednego wybrzeża do drugiego, natężając parę nieraz z narażeniem maszyny – i tak splądrował wszystkie punkty na całej przestrzeni pomiędzy wybrzeżami Japonii i Ameryki. I nic, nic! Wszędzie tylko nieskończoność fal opustoszałych! Ani śladu czegoś, co by mogło być podobne do narwala olbrzymiego, do wysepki podwodnej, do szczątków rozbitego okrętu, do skały podwodnej lub czegokolwiek bądź nadprzyrodzonego!

Reakcja musiała nastąpić. Naprzód odwaga opuściła wszystkich, ustępując miejsca zwątpieniu. Na pokładzie okrętu zrodziło się nowe uczucie złożone w trzech dziesiątych ze wstydu, a w siedmiu dziesiątych ze wściekłości. Wszystkich gniewało to, że pozwolili się złapać na jakąś mrzonkę. Cały arsenał argumentów przez rok zbieranych posypał się jak grad i każdy myślał tylko o tym, jak powetować sobie godziny snu i posiłku tak głupio dotąd marnowane.

Ze zwykłą umysłowi ludzkiemu ruchliwością, z jednej ostateczności przerzucono się w drugą. Najgorętsi przedsięwzięcia stronnicy stali się teraz najzapaleńszymi⁵³ jego wrogami. Od najniższych warstw ludności okrętowej aż do sztabu, reakcja owładnęła wszystkich; i gdyby nie szczególniejszy upór kapitana Farraguta, fregata z pewnością zawróciłaby ostatecznie na południe.

⁵² *anawryzm* – pulsujący guz powstały wskutek zwyrodnienia tętnicy.

⁵³ *najzapaleńszy* – najżarliwszy.

Bądź co bądź, to bezowocne poszukiwanie długo trwać nie mogło. „Abraham Lincoln” nic sobie nie miał do wyrzucenia, zrobiwszy wszystko, co było w jego mocy. Nigdy jeszcze załoga statku marynarki amerykańskiej nie dała więcej dowodów cierpliwości i gorliwości; nie ona winna była niepowodzeniu! Trzeba było powracać.

Przedstawiono to dowódcy statku – ale dowódca nie chciał nawet słuchać. Majtkowie nie ukrywali swego niezadowolenia, na czym służba ucierpieć musiała. Nie powiem, żeby to był bunt; ale przyszło do tego, że po dość długim oporze kapitan Farragut, jak niegdyś Kolumb, zażądał trzech dni zwłoki. Jeżeli w ciągu tych trzech dni potwór się nie ukaże, „Abraham Lincoln” powróci na morza europejskie.

Przyrzeczenie to dane dnia 2 listopada, dobry wywarło skutek, bo ożywiło upadającą odwagę załogi. Ze świeżą bacnością obserwowano ocean. Lunety znajdowały się w ciągłym ruchu gorączkowym. Było to wyzwanie ostateczne rzucone olbrzymiemu narwalowi, który, biorąc rzeczy logicznie, powinien był to wezwanie „stawienia się” wziąć do serca.

Dwa dni upłynęły. Fregata krążyła pod małą parą. Tysiącnych używano sposobów dla zwrócenia uwagi zwierzęcia lub wydobywania go ze stanu apatii, jeśli się znajdowało w tych okolicach. Między innymi zakładano ogromne kawały słoniny na przynętę, chociaż to tylko rekinom na pożytek poszło. We wszystkich kierunkach wysyłano łodzie na poszukiwania jak najdrobiazowsze, lecz i wieczór 4 listopada nadszedł, a nie wyjaśniła się tajemnica podmorska.

Nazajutrz, 5 listopada w południe, kończył się termin zwłoki żądanej. Po oznaczeniu pozycji, kapitan Farragut, wierny swemu przyrzeczeniu, miał zawrócić na południo-wschód i opuścić stanowczo północne okolice Oceanu Spokojnego.

Fregata znajdowała się naówczas pod 31° 15' szerokości północnej i 136° 42' długości wschodniej. Od wybrzeży japońskich byliśmy o dwieście mil oddaleni. Noc się zbliżała, gęste chmury zakrywały tarczę Księżyca wchodzącego w pierwszą swą kwadrę⁵⁴. Morze lekko bałważyło się, rozbijając swe fale o przód fregaty.

W tej chwili stałem oparty o parapet z prawego boku okrętu, Conseil, spokojny i zimny, patrzył obojętnie przed siebie. Cała prawie załoga zawieszona na drabinkach sznurowych i linach, badała uważnie zaciemniający się coraz bardziej widnokrąg. Oficerowie, uzbroiwszy wzrok lunetami, chcieli dojrzeć coś wśród zmroku. Niekiedy ponury ocean rozjaśnił się promykiem światła księżycowego przedzierającego się spoza chmur, po czym ślad światła rychło ginął w ciemnościach.

Przekonywałem się coraz więcej, że Conseil uległ wrażeniu ogólnemu i może po raz pierwszy w życiu nerwy tego zucha poruszyły się pod wpływem uczucia ciekawości.

– No, Conseil – odezwałem się – oto jeszcze ostatnia sposobność zarobienia dwóch tysięcy dolarów.

– Niech mi pozwolą powiedzieć – odrzekł Conseil – że nigdy nie liczyłem na tę nagrodę; choćby rząd Stanów Zjednoczonych przyrzekł i sto tysięcy dolarów nagrody, to ani bym o niej pomyślał.

– Masz słuszość, Conseil. Jest to głupia sprawa, w którą wdaliśmy się zbyt lekkomyślnie. Straciliśmy wiele czasu i daremnie ulegaliśmy wzruszeniom. Od sześciu już miesięcy mogliśmy byli być we Francji...

– Do ślicznego ich mieszkanka, do ich muzeum. I byłbym już poklasyfikował ich szkielety! I babirusa byłaby już umieszczona w swojej klatce w Ogrodzie Botanicznym, ściągając tłumy ciekawych.

– Masz słuszość, Conseil, a jeszcze będą ludzie z nas żartowali, gdy powrócimy.

– W rzeczy samej – spokojnie odrzekł Conseil – sądzę, że będą żartowali z nich i wyznać muszę...

⁵⁴ kwadra – faza Księżyca, podczas której widoczna jest połowa jego tarczy.

- Co wyznać musisz?
- Że będą mieli tylko to, na co zasłużyli.
- To prawda!
- Kiedy się ma zaszczyt być uczonym, jak my, nie wystawia się na...

Conseil nie mógł dokończyć swego komplementu: ogólną ciszę przerwał w tej chwili głos gromki. Był to głos Neda Landa, który wołał:

- Oho! Potwór, tam, pod wiatr... przeryna nam drogę w poprzek!

Całą siłą pary

Na ten okrzyk cała załoga rzuciła się w stronę oszczepnika: dowódca, oficerowie, sternicy, majtkowie, chłopcy okrętowi, nawet maszyniści i palacze opuścili swe obowiązki; wydano rozkaz zatrzymania statku i fregata posuwała się już tylko siłą rozpędu.

Ciemność głęboka otaczała wszystko, a jakkolwiek Kanadyjczyk dobre miał oczy, pytałem sam siebie, jak i co mógł widzieć. Serce mi biło jak młotem.

Lecz Ned Land nie omylił się i wkrótce wszyscyśmy zobaczyli przedmiot, który on ręką wskazywał.

W odległości 240 sążni od fregaty, z prawego boku morze zdawało się jakby oświetlone po wierzchu. Nie było to proste zjawisko fosforescencji⁵⁵. Potwór, zanurzony na kilka sążni pod powierzchnią wód, rzucał ten silny a niepojęty blask, o którym jednak wspominały raporty wielu dowódców okrętowych. Wspaniałe te promienie musiał wytwarzać czynnik wielkiej siły oświetlającej. Plama świetlna opisywała na morzu ogromny owal mocno wydłużony, w którego środku zbierało się ognisko rzucające blask olśniewający, zmniejszający się jednak stopniowo.

– Jest to nagromadzenie molekuł fosforycznych⁵⁶ – zawołał jeden z oficerów.

– Nie, panie – odpowiedziałem z przekonaniem. – Nigdy folady⁵⁷ ani salpy⁵⁸ nie wydają tak potężnego blasku. To światło jest wyraźnie natury elektrycznej... Zresztą patrz pan, patrz! Ono się porusza! Posuwa się naprzód, w tył! Rzuca się na nas!

Na fregacie dał się słyszeć jeden okrzyk ogólny.

– Milczenie! – zawołał kapitan Farragut. – Zwrócić okręt do wiatru! Ruch w tył!

Majtkowie rzucili się do steru, maszyniści do maszyn. Parę odwrócono natychmiast i „Abraham Lincoln”, zawracając od lewego boku, zakreślił sobą półkole.

– Ster na prawo! Maszyna naprzód! – krzyknął kapitan Farragut.

Rozkazy spełniono z szybkością; fregata nagle odsunęła się od świetlnego ogniska.

Mylę się. Chciałem powiedzieć, że chciała się odsunąć, lecz zwierzę nadprzyrodzone zbliżyło się do niej z szybkością dwa razy większą.

Oddychaliśmy zaledwie, oniemieliśmy i osłupieliśmy bardziej z zadziwienia, aniżeli z obawy. Zwierzę dopędzało nas jakby przez igraszkę.

Okrażyło fregatę pędzącą z szybkością czternastu węzłów i otoczyło ją warstwą elektryczności jak pyłem świetlnym. Potem odsunęło się na dwie lub trzy mile, pozostawiając za sobą smugę fosforyczną podobną do kłębow pary, jakie wyrzuca w tył lokomotywa pociągu pośpiesznego. Nagle od ciemnych krańców widnokregu, do których doszedł, potwór zawrócił się znowu ku fregacie z przerażającą szybkością i w odległości dwudziestu może stóp od niej zatrzymał się, przygasił nagle swój blask, nie zanurzając się jednak w wodzie, bo światło nie ulegało stopniowemu zmniejszaniu się, tylko nagle znikło. Potem ukazał się z drugiej strony okrętu, lecz nie wiadomo, jakim sposobem? Czy opłynął go, czy też przesunął się pod jego spodem. Niebezpieczeństwo zetknięcia z nim groziło nam klęską.

Dziwiły mnie obroty fregaty. Uciekała, zamiast nacierać. Powinna była ścigać, a tymczasem sama była ścigana; zrobiłem tę uwagę kapitanowi. Na twarzy jego, spokojnej zwykle, czytałem nieopisane zdziwienie.

– Panie Aronnax – odpowiedział – nie wiem, z jaką straszną istotą mam do czynienia i nie chcę nierozważnie narażać mojej fregaty wśród takiej ciemności. Zresztą jakże zaczepiać, gdy

⁵⁵ *fosforescencja* – zjawisko świecenia niektórych substancji światłem własnym, po uprzednim naświetleniu.

⁵⁶ *molekuła* – inaczej cząsteczka.

⁵⁷ *folady* (łac. *Pholas*) – rodzaj jadalnych małży morskich.

⁵⁸ *salpy* – drobne zwierzęta morskie należące do podtypu osłonnic.

nie wiemy kogo? Jakże się bronić przeciw nieznanemu? Poczekajmy do dnia, a wtedy role się odmienia.

– Ale już teraz nie wątpisz, kapitanie, o istnieniu zwierzęcia? – zapytałem.

– Nie, panie; jest to oczywiście narwał olbrzymi, ale zarazem elektryczny.

– Może być – dodałem – że nie można się do niego zbliżyć, tak samo jak do węgorza elektrycznego lub do drętвика (Raja elektryczna).

– W rzeczy samej – odrzekł kapitan – i jeśli posiada on w sobie jeszcze siłę piorunującą to jest niezaprzeczenie najstraszniejszym zwierzęciem, jakie wyszło kiedykolwiek z rąk Stwórcy. Dlatego też, panie, mam się na ostrożności.

Przez całą noc załoga okrętowa była na nogach i nikt nie pomyślał o spaniu. „Abraham Lincoln”, nie mogąc walczyć szybkością, zwolnił swój bieg; utrzymywano na nim niewielką tylko parę. Narwał, idąc za przykładem fregaty, pozwalał się kołysać falom – i zdawało się, że postanowił nie opuszczać placu bitwy.

Jednakże około północy znikł albo, lepiej powiedziawszy, „przygasł” jak ogromny robak świecący. Czy uciekł? Należało się i tego lękać, ale nie spodziewać. Lecz na siedem minut przed pierwszą z rana dało się słyszeć ogłuszające gwizdnięcie podobne do tego, jakie wydaje strumień wody z nadzwyczajną wyrzucony gwałtownością.

Kapitan Farragut, Ned Land i ja staliśmy wówczas na pomoście rufy, usiłując stamtąd przedrzeć ciekawym wzrokiem grube ciemności.

– Nedzie Landzie – rzekł kapitan – wszak często słyszałeś wieloryby ryczące?

– Często, panie, ale nigdy takich wielorybów, których wypatrzenie przyniosłoby mi dwa tysiące dolarów zysku.

– To prawda, że masz prawo do nagrody. Ale powiedz mi, czy ten odgłos nie jest podobny do tego, jaki wydają wieloryby, wyrzucając wodę przez nozdrza?

– Taki sam odgłos, panie, lecz ten, jaki przed chwilą słyszeliśmy, jest bez porównania silniejszy. Nie ulega wątpliwości, że wieloryba mamy pod boki. Jeśli pan pozwoli – dodał oszczepnik – jutro przy świetle dziennym powiemy mu słówko.

– Jeśli będzie w humorze słuchania cię, mości Landzie – wtrącił tonem powątpiewania.

– Niech ja się tylko zbliżę do niego na cztery długości harpuna – odparł Kanadyjczyk – a musi mnie słuchać!

– Abyś jednak się zbliżył – rzekł dowódca – na to trzeba by dać łódź wielorybniczą?

– Bez wątpienia, kapitanie.

– A to byłoby narażać życie moich ludzi...

– I moje! – krótko dodał oszczepnik.

Około drugiej godziny z rana znowu ukazał się silny blask w odległości pięciu mil pod wiatr od fregaty. Pomimo szmeru wiatru i morza, słychać było wyraźnie ogromne uderzenia ogona i silny oddech zwierzęcia. Zdawało się, gdy narwał wychylał się na powierzchnię dla odetchnięcia, że powietrze wpadało do jego płuc jak para w przestronnych maszynach o sile dwóch tysięcy koni.

„Hm! – pomyślałem sobie – piękny mi wieloryb, co posiada siłę pułku kawalerii”.

Czuwano bezustannie, aż do dnia i sposobiono się do walki. Wszystkie narzędzia i przyrządy do łowów wydobyto i rozłożono. Porucznik kazał nabić działka wyrzucające harpun na odległość mili i długie strzelby z kulami pękającymi, które zadają rany śmiertelne. Ned Land przysposobił tylko swój harpun, broń straszną w jego ręku.

O szóstej poczęło świtać i wraz z pierwszym brzaskiem zorzy zniknęło światło elektryczne narwala. O siódmej było już całkiem widno, lecz mgła poranna bardzo gęsta zaciemniała widnokrąg i najlepsze lunety nic nie pomogły. Stąd ogólny gniew i niezadowolenie.

Ja przysiadłem się do steru; kilku oficerów wdrapało się na wierzchołki masztów.

O ósmej mgła opadła na fale. Widnokrąg oczyścił się i rozwidnił. I znowu, jak dnia poprzedzającego, nagle rozległ się głos Neda Landa:

– Jest, oto tam... Z lewego boku od rufy! – wołał oszczepnik.

Wszystkie oczy zwróciły się na punkt wskazany.

W odległości półtorej mili od fregaty, długie ciało czarniawe wystawało na wysokość jednego metra ponad fale. Ogon jego poruszał się z ogromną gwałtownością. Nigdy jeszcze nie widziano wody morskiej tak silnie rozbijanej. Ogromna bruzda świetnej białości znaczyła pochod zwierzęcia i zakreślała linię krzywą, przedłużoną.

Fregata zbliżyła się do wieloryba. Mogłem mu się doskonale przypatrzeć. Raporty okrętów „Shannon” i *Helvetia* przesadziły nieco jego rozmiary; liczyłem, że długość jego nie mogła wynosić więcej nad dwieście pięćdziesiąt stóp. Co do jego objętości, trudno było ją oznaczyć, lecz w ogóle zwierzę wydało mi się bardzo proporcjonalnie zbudowane.

Gdym się przypatrywał temu dziwnemu stworzeniu, wyrzuciło ono ze swych nozdrzy dwa wielkie strumienie pary i wody na wysokość czterdziestu metrów, co mnie już stanowczo upewniło o sposobie jego oddychania. Wniosłem już z tego, że zwierzę to należało do działów kręgowych, do klasy ssących, do gromady rybokształtnych, do rzędu wielorybów, do rodziny... Tu nie mogłem jeszcze nic wyrzec. Rząd wielorybów obejmuje trzy rodziny: wieloryby, potfiszce i delfiny – w tej ostatniej właśnie pomieszczone są narwale. Każda z tych rodzin dzieli się na kilka rodzajów, każdy rodzaj na odmiany. Nie wątpiłem, że zdołam uzupełnić mą klasyfikację przy pomocy nieba i kapitana Farraguta.

Załoga z niecierpliwością oczekiwała na rozkazy swego dowódcy. Ten, przypatrzawszy się uważnie zwierzęciu, kazał wezwać maszynistę i zapytał go, czy ma dość pary.

– Mamy, kapitanie – odpowiedział maszynista.

– Dobrze. Każ pan podniecić jeszcze ogień i ruszamy całą siłą pary!

Przeciągłe „hurra” powitało ten rozkaz. Wybiła godzina walki. W kilka chwil potem dwa kominy fregaty buchały gęstymi kłębami czarnego dymu, a pomost drżał pod wstrząśnieniami kotłów parowych.

„Abraham Lincoln” popychany siłą potężnej swej śruby, pędził prosto na zwierza; ten czekał obojętnie i pozwolił okrętowi zbliżyć się na 60 sążni, po czym, nie zanurzając się bynajmniej, usuwał się z wolna, utrzymując się w tej samej odległości.

Taka pogoń trwała około trzech kwadransów, a fregata w tym czasie nie zdołała przysunąć się do potwora ani o jeden sążeń. W taki sposób można go było nigdy nie doścignąć.

Kapitan Farragut niecierpliwie szarpał swą gęstą brodę. Nareszcie przywołał do siebie Neda Landa; Kanadyjczyk stawiał się na wezwanie.

– I cóż, panie Land – zapytał dowódca – czy radzisz mi jeszcze spuszczać czołna na morze?

– Nie, panie – odrzekł Ned Land – bo widzę, że to bydlę nie da się złapać, jeżeli nie zechce.

– Cóż zatem robić?

– Powiększyć jeszcze siłę pary, jeśli to być może. Co do mnie, to, rozumiem się z pozwoleniem pańskim, stanę przy maszcie przednim całkiem w pogotowiu i cisnę oszczep, jeśli na stosowną odległość zbliżyć się zdołamy.

– Dobrze, Ned – odpowiedział kapitan Farragut. – Panie maszynisto! – krzyknął – każ zwiększyć ciśnienie pary.

Ned Land poszedł na swoje stanowisko. Ogień pod kotłami powiększono: śruba robiła czterdzieści trzy poruszenia na minutę, a para wydobywała się gwałtownie przez klapy. „Abraham Lincoln” pędził z szybkością osiemnastu i pół mili na godzinę.

Lecz z tą samą szybkością pędziło i przekłute zwierzę.

Jeszcze przez godzinę fregata pędziła w ten sposób, nie mogąc się przybliżyć ani o jeden sążeń. Było to wielce upokarzające dla jednego z najszybszych statków marynarki amerykańskiej. Załoga okrętu mocno była niezadowolona. Majtkowie przeklinali potwora, który nie raczył im nawet odpowiedzieć. Kapitan Farragut gryzł i szarpał swą brodę.

Przywołał on raz jeszcze maszynistę i zapytał, czy nie może już zwiększyć ciśnienia pary.

- Nie mogę, kapitanie – odpowiedział maszynista.
- A klapy bezpieczeństwa czy są obciążone?
- Do sześciu i pół atmosfer.
- Obciąż je pan do dziesięciu atmosfer.

Rozkaz był prawdziwie amerykański. Nie lepiej by postąpiono na Missisipi, dla prześcignięcia „współzawodnika”.

– Conseil – rzekłem do mego dzielnego chłopca stojącego przy mnie – czy wiesz, że możemy w powietrze wylecieć?

– Jak im się podoba! – spokojnie odrzekł Conseil.

Przyznam się, że tym razem wcale mi się podobać nie mogła tego rodzaju przyjemność.

Klapy bezpieczeństwa zostały obciążone. Dosypano węgla do pieców. Wentylatory dostarczyły ogromnej ilości powietrza do palenisk. Szybkość fregaty jeszcze się zwiększyła. Maszty jej trzęsły się w osadzie, a kłęby dymu zaledwie przecisnąć się mogły przez zbyt wąskie kominy.

Niecierpliwy dowódca zapytał sternika o prędkość.

- Dziewiętnaście mil i trzy dziesiąte – odpowiedział zagadnięty.
- Powiększyć jeszcze ogień!

Maszynista spełnił rozkaz. Manometr wskazywał dziesięć atmosfer. Lecz widać, że wieloryb „powiększył także swą parę”, bo bez najmniejszej trudności płynął też z szybkością dziewiętnastu i trzech dziesiątych mili.

Okropna pogoń! Nie mogę opisać wzruszenia, jakie przejmowało całą mą istotę. Ned Land stał na swym stanowisku z harpunem w ręku. Kilkakrotnie zwierz pozwalał zbliżyć się do siebie.

– Dopędzamy go, dopędzamy! – wołał Kanadyjczyk.

Lecz ile razy gotów już był ugodzić oszczepem, wieloryb odsuwał się z szybkością, którą by ocenić wypadało na trzydzieści mil na godzinę, a nawet podczas największej naszej szybkości, jakby żartując sobie z naszej fregaty, opłynął ją dokoła. Okropny krzyk przerażenia wydarł się ze wszystkich piersi.

W południe nie bliżej byliśmy od potwora jak o ósmej godzinie z rana.

Kapitan Farragut zdecydował się wtedy użyć środków bardziej stanowczych.

– Ach! – zawołał z gorączkową niecierpliwością – to zwierzę płynie prędzej niż „Abraham Lincoln”, ale zobaczymy, czy prześcignąć zdoła jego kule stożkowe!

Armata na przodzie okrętu została nabita i wycelowana. Wystrzelono – lecz kula przeszła o kilka stóp nad wielorybem oddalonym o pół mili.

– Niech strzela ktoś zręczniejszy! – krzyknął kapitan – pięćset dolarów nagrody temu, kto przeszyje to bydlę piekielne!

Stary, siwobrody kanonier – jakbym go widział dotąd – z okiem spokojnym, twarzą zimną, zbliżył się do armaty, nastawił ją i długo celował; w powietrzu rozległ się silny huk pomieszany z okrzykami radości całej załogi.

Kula nie chybiła celu: trafiła zwierzę, lecz nie przeszła go na wskroś, zsunęła się tylko po jego powierzchni zaokrąglonej i w odległości dwóch mil wpadła do morza.

– Aha! – zawołał stary kanonier z gniewem – ten łotr opancerzony jest, jak widzę, blachą sześciocelową.

– Przekleństwo! – krzyczał kapitan Farragut.

Polowanie na nowo się rozpoczęło, a kapitan, nachylając się do mnie, rzekł:

- Będę go ścigał, choćby moja fregata miała rozbryznać się na najdrobniejsze szczątki.
- Masz pan słuszość zupełną! – odpowiedziałem.

Można się było spodziewać, że zwierzęciu sił zabraknie prędzej niż maszynie parowej. Ale tak nie było. Godziny upływały, a na nim ani znać było zmęczenia.

Na pochwałę „Abrahama Lincolna” przyznać trzeba, że walczył z niestrudzoną wytrwałością.

W tym niefortunnym dniu, 6 listopada, przebiegł on do pięciuset kilometrów. Lecz noc nadeszła i ciemnościami pokryła ocean wzburzony. Sądziłem, że wyprawa nasza skończona i że już więcej nigdy nie zobaczymy zwierzęcia fantastycznego. Omyliłem się.

Dziesięć minut przed jedenastą wieczorem światło elektryczne znowu się ukazało w odległości trzech mil od fregaty, a tak samo było czyste i mocne jak nocy poprzedniej.

Narwał zdawał się być nieruchomym. Może spał strudzony, pozwalając się kołysać falom. Kapitan Farragut postanowił skorzystać z tej sposobności.

Wydał rozkazy. Fregata zwolniła biegu, posuwając się ostrożnie, aby nie zbudzić czujności swego przeciwnika. Często się zdarza spotkać na pełnym oceanie wieloryby uśpione głęboko i wtedy łatwo napaść można na nie; Ned Land niejednego ubił w taki sposób. Kanadyjczyk stał jak posąg niewzruszony na swym stanowisku, gotów do działania w każdej chwili.

W tej chwili, oparty na poręczy przedniego pomostu, zobaczyłem przed sobą Neda Landa groźnie wstrząsającego swym niebezpiecznym oszczepem. Dwadzieścia stóp zaledwie dzieliło go od zwierzęcia nieruchomego.

Jednym szybkim ruchem wyciągnął on nagle rękę i wyrzucił oszczep. Słyszałem uderzenie oręza trafiającego, jak się zdawało, na jakieś ciało twarde.

Światłość elektryczna przygasła naraz; dwa potężne słupy wody spadły na pomost fregaty, a lejąc się jak potok wzburzony, z przodu na tył okrętu, przewracały ludzi i porywały wszystko, co napotkały na drodze.

Dało się czuć gwałtowne wstrząśnienie – a ja przerzucony przez barierę, nie mając czasu ucześcić się czegokolwiek, wtrącony zostałem do morza.

Wieloryb gatunku nieznanego

Jakkolwiek niespodzianie całkiem upadłem w morze, nie straciłem jednak przytomności.

Zapadłem zrazu na przeszło dwadzieścia stóp głębokości. Jestem dobrym pływakiem – a choć nie mam pretensji równać się z Byronem i Edgarem Poe, którzy byli mistrzami w tej sztuce, jednak dwoma silnymi ruchami wydobyłem się na powierzchnię.

Naprzód oczyma szukałem fregaty. Czy spostrzeżono, że mnie brakuje? Czy kapitan kazał spuścić łódkę na morze? Czy mogłem spodziewać się ocalenia?

Ciemność głęboka pokrywała wszystko dokoła. Widziałem, jak przez mgłę, ogromną czarną masę uciekającą na wschód, a ognie jej niknęły w oddali. Była to fregata. Czulem, że jestem zgubiony.

– Ratunku! – wołałem, płynąc z rozpaczliwym wysiłkiem za okrętem.

Suknie⁵⁹ mi przeszkadzały w pływaniu; przemokły i przylgnęły mocno do mego ciała, paraliżując wszystkie moje ruchy. Tonąłem, krztusiłem się...

– Ratunku!

Był to ostatni mój krzyk; usta napęliła mi woda; ciężar bezwładnego ciała ciągnął mnie w przepaść...

Nagle silna dłoń pochwyciła mnie za suknie i szybko wyciągnęła na wierzch; usłyszałem, tak, usłyszałem następujące wyrazy:

– Niech wesprą się na moim ramieniu to będzie im daleko wygodniej płynąć.

Uchwyciłem za rękę mego wiernego Conseil'a.

– To ty! – zawołałem – Ty!

– Ja sam – odpowiedział Conseil – na rozkazy.

– Wstrząśnienie wyrzuciło cię razem ze mną do morza?

– Bynajmniej. Lecz ponieważ jestem u nich w służbie, poszedłem za nimi.

Pocziwy chłopiec uważał to za rzecz bardzo naturalną.

– A fregata? – zapytałem.

– Fregata! – odrzekł Conseil, wykręcając się na grzbiecie. – Zdaje mi się, że nie warto liczyć na nią.

– Co ty mówisz?

– Mówię, że w chwili, kiedym za nimi wskoczył w wodę, słyszałem jak na pokładzie wołano: „śruba i ster są strzaskane!”

– Strzaskane?

– Tak! Strzaskane zębem potwora. Innego uszkodzenia „Abraham Lincoln” nie doznał. W każdym razie, na nieszczęście nasze, nie ma steru i nie może się zwrócić, gdzie zechce.

– Więc jesteśmy zgubieni.

– Być może – spokojnie odpowiedział Conseil. – Jednakże mamy jeszcze kilka godzin czasu, a przez kilka godzin wiele zrobić można.

Zimna krew Conseil'a i ufność jego dodały mi odwagi. Płynąłem z większą siłą, lecz wkrótce osłabłem – suknie ciążyły mi jak ołów. Spostrzegł to Conseil.

– Z przeproszeniem, muszę zrobić cięcie.

To mówiąc, wsunął nóż otwarty pod moje suknie, jednym pociągnięciem rozpruł je od góry do dołu, po czym ściągał je ze mnie, gdy ja płynąłem za nas obu.

Z kolei oddałem tę samą przysługę Conseil'owi i wtedy już swobodnie „żeglowaliśmy” jeden obok drugiego.

⁵⁹ suknie (daw.) – ubranie.

Pomimo to, położenie nasze było okropne. Może nawet nie dostrzeżono naszej nieobecności na statku! A gdyby i nie to, fregata bez steru nie mogła pod wiatr płynąć na nasz ratunek. Można więc było liczyć tylko na łodzi.

Conseil, biorąc rzeczy rozważnie, ułożył plan odpowiedni. Zadziwiająca natura! Ten flegmatyczny chłopiec czuł się tu jak u siebie.

Ponieważ jedyna szansa naszego zbawienia była w doczekaniu się łodzi wysłanych z fregaty, więc wypadało się tak urządzić, abyśmy na nie jak najdłużej czekać mogli. Postanowiłem przeto rozdzielić nasze siły tak, abyśmy ich wyczerpywać jednocześnie nie potrzebowali – i oto, cośmy uradzili: jeden położy się na grzbiecie nieporuszony, z rękoma na piersiach skrzyżowanymi, a drugi, płynąc, popychać go będzie przed sobą. Tak, zmieniając się co dziesięć minut, mogliśmy płynąć jeszcze kilka godzin, a może nawet i do rana.

Wątpiła to wprowadzić szansa, ale nadzieja tak głęboko zakorzeniona jest w sercu człowieka! Zresztą było nas dwóch; a nadto, jakkolwiek to zdawać się może nieprawdopodobnym, nie mogłem stracić wszelkich iluzji, nie mogłem „rozpaczać”.

Spotkanie fregaty z wielorybem zdarzyło się około jedenastej wieczorem. Do dnia brakowało jeszcze osiem godzin, ale, zmieniając się kolejno, mogliśmy płynąć przez ten czas – tym więcej, że morze było bardzo spokojne. Niekiedy usiłowałem przeniknąć wzrokiem te ponure ciemności, wśród których błyszczała tylko fosforescencja wywołana poruszeniami naszymi. Patrzyłem na falę świetlną rozbijającą się o moją rękę. Wyglądało to, jakbyśmy byli zanurzeni w kąpieli z merkuriuszu⁶⁰.

Około pierwszej po północy czułem się mocno strudzony. Napadały mnie odrętwienia i kurcze we wszystkich częściach ciała. Conseil musiał mnie podtrzymywać; na nim więc jednym polegało teraz ocalenie nas obu. Niezadługo usłyszałem mocno przyspieszony i krótki oddech biednego chłopca wyczerpującego ostatnie swe siły.

– Puść mnie, puść mnie! – zawołałem.

– Opuścić ich? Nigdy! Chyba ja sam wprzód utonę!

W tej chwili wśród rozstępującej się chmury, jaką wiatr pędził na wschód, ukazał się księżyc i blaskiem swych promieni rozjaśnił powierzchnię morza. Dobroczynne to światło orzeźwiło nasze siły. Podniosłem głowę, rzuciłem ciekawym wzrokiem na wszystkie strony. Spostrzegłem fregatę w odległości pięciu mil od nas; wyglądała jak wielka czarna masa, trudna do rozeznania. Lecz nie mogłem dojrzeć nigdzie łodzi.

Chciałem krzyczeć, lecz na cóż by się to przydało z takiej odległości? Wargi moje napuchnięte żadnego nie mogły wydać głosu. Conseil, silniejszy ode mnie, usiłował wołać i słyszałem go powtarzającego kilkakrotnie:

– Ratunku! Ratunku!

Odpoczywaliśmy przez chwilę, słuchając bacznie i może to było złudzenie wskutek napływu krwi do ucha – ale zdawało mi się, że głos jakiś odpowiedział na wołanie Conseil'a.

– Czy słyszałeś? – wyszeptałem z cicha.

– Słyszałem!

Conseil zrozpaczonym głosem jeszcze raz zawołał o ratunek.

Tym razem już się nie omyliliśmy. Głos ludzki odpowiedział na nasze wołanie. Byłże to zapewne głos nieszczęśliwego, równie jak my opuszczonego wśród oceanu, jeszcze jednej ofiary wstrząśnienia okrętu? A może to łódź z fregaty wysłana nie mogła znaleźć nas w ciemności?

Conseil zrobił ostatni wysiłek, oparł się na moim osłabionym ramieniu, podniósł się na pół z wody i nagle opadł z sił wyczerpany.

– Cóż widziałeś?

– Widziałem... – szeptał – Widziałem... Ale nie mówmy o tym... Zbierzmy siły!

⁶⁰ merkuriusz (daw.) – rtęć.

Co widział? Nie wiem. Lecz nie pojmuję, dlaczego w tej chwili przyszedł mi na myśl potwór! Ależ ten głos? Minęły już czasy, w których Jonasze szukali schronienia w brzuchu wielorybów!

Conseil tymczasem ciągnął mnie ze sobą; podnosił biedak niekiedy głowę, patrzył przed siebie i wydawał krzyk, na który z coraz bliższej odległości odpowiadał głos jakiś. Zaledwie wszystko to słyszeć mogłem. Siły moje wyczerpywały się zupełnie; palce mi posztywniały, ręka obezwładniała; usta moje konwulsyjnie otwarte napełniły się wodą słoną; zimno dreszczem na wskroś mnie przejmowało. Podniosłem głowę po raz ostatni, po czym zanurzyłem się...

W tej chwili uderzyłem o jakieś twarde ciało, za które się uchwyciłem. Dalej czułem, że mnie wyciągano z wody, że pierś moja swobodniej oddycha i zemdlałem...

Lecz wkrótce wróciłem do przytomności, dzięki silnemu tarcia mego ciała. Otworzyłem oczy.

W tej chwili, przy słabym blasku księżyca zachodzącego za widnokrąg, dojrzałem twarz nie Conseil'a wprawdzie, lecz twarz, którą zaraz rozpoznałem.

– Ned! – zawołałem.

– W swojej własnej osobie! Ned, panie, pędzący za swą nagrodą! – odrzekł Kanadyjczyk.

– Tyś także wpadł do morza przy wstrząśnięciu fregaty?

– Tak jest, panie profesorze, lecz, szczęśliwszy od was, zaraz prawie zdołałem się dostać na wysepkę pływającą.

– Wysepkę?

– Albo raczej na waszego narwala olbrzymiego.

– Nie rozumiem cię, Ned.

– Zaraz też zrozumiałem, czemu mój oszczep nie mógł w nim ugrząźć i zsunął się po jego skórze.

– Dlaczegoż, Ned, dlaczego?

– Oto dlatego, panie profesorze, że ta bestia ukuta jest z blach stalowych.

Muszę tu zebrać moje myśli i odświeżyć wspomnienia, policzyć się z moimi wrażeniami.

Ostatnie wyrazy Kanadyjczyka sprawiły nagłą w moim mózgu zmianę. Siedziałem na zwierzęciu, czy też przedmiocie na wpół zanurzonym w wodzie, który nam służył za schronienie; czułem go pod moimi stopami. Było to w rzeczy samej ciało twarde, nieprzeniknione, a bynajmniej nie owa substancja miękka, z jakiej się składa ciało wielkich morskich zwierząt ssących.

Lecz to ciało twarde mogło być kościstą skorupą zwierząt przedpotopowych – i w takim razie miałbym słuszność, mieszcząc potwora między płazami ziemnowodnymi jak żółwie i aligatory⁶¹.

Otóż nie! Czarniawy grzbiet, na którym siedziałem, był śliski, gładki, nie chropowaty; za dotknięciem wydawał dźwięk metaliczny, jakby – rzecz trudna do wiary – zrobiony był z blachy stalowej.

Nie było żadnej wątpliwości, że zwierzę, potwór, zjawisko przyrody, które tak intrygowało cały świat uczony, rozpalało wyobraźnię i niepokój budziło w sercach marynarzy obu półkul ziemskich – było zjawiskiem bardziej jeszcze zadziwiającym, bo dziełem ręki ludzkiej.

Odkrycie istoty najbajeczniejszej, najbardziej mitologicznej, nie zdziwiłoby mnie do takiego stopnia i obłąkało tak mego rozumu. Wszystko co wielkie i nadzwyczajne pochodzi od Stwórcy i to rzecz bardzo prosta; lecz nagle odkrycie czegoś, tak po ludzku a tajemniczo urzeczywistnionego, doprowadzić mogło do szaleństwa.

Bądź co bądź, znajdowaliśmy się na grzbiecie jakiegoś statku podwodnego, kształtu, o ile wnosić mogłem, ogromnej ryby stalowej. Ned Land dał już poznać swoje pod tym względem zdanie – a ja i Conseil zgodzić się na nie musieliśmy.

– Lecz w takim razie – mówiłem – przyrząd ten posiada w sobie mechanizm pozwalający mu przenosić się z miejsca na miejsce i jakąś załogę mechanizmem tym kierującą.

⁶¹ między płazami ziemnowodnymi jak żółwie i aligatory – dziś żółwie i aligatory zaliczane są do gadów.

– Tak się zdaje – odrzekł oszczepnik – a jednak od trzech godzin, jak przebywam na tej wyspie pływającej, nie dała ona jeszcze żadnego znaku życia.

– Czy ten statek nie płynie?

– Nie, panie Aronnax, kołysze się na falach, ale się nie porusza.

– Wiemy wszakże z pewnością, bo z doświadczenia, że obdarzony jest ogromną szybkością; a ponieważ dla wytworzenia tej szybkości potrzebna jest maszyna i maszynista, wnoszę więc z tego... że jesteśmy ocaleni.

– Hm! – mruknął Ned Land tonem niedowodzącym zupełnego przekonania.

W tej chwili i jakby dla usprawiedliwienia moich dowodzeń, w tylnej części tego dziwnego przyrządu, którego motorem widocznie była śruba, powstało jakby jakieś wrzenie i masa poruszać się zaczęła. Zaledwie mieliśmy czas przesunąć się na część jego przednią wystającą nad wodę na osiemdziesiąt może centymetrów. Na szczęście szybkość jego nie była zbyt wielka.

– Dopóki płynie poziomo – mruczał Ned Land – nie mam nic przeciwko temu; ale jeżeli mu przyjdzie ochota zanurzyć się, to i dwóch dolarów nie dałbym za mą skórę!

I to byłoby za wiele!

Było więc rzeczą niezbędną porozumieć się z istotami zamkniętymi w tej maszynie. Szukałem tedy pod stopami naszymi otworu, klapy, „dziury wejściowej”, wyrażając się technicznie, ale szeregi nitów mocno wiążących z sobą blachy pancerza, ciągnęły się wyraźnie i jednostajnie.

Przy tym i księżyc skrył się już za chmury, a więc zostaliśmy pogrążeni w ciemności. Trzeba było czekać dnia, aby wynaleźć środek przeniknięcia do wnętrza tego statku podmorskiego.

Tak więc ocalenie nasze zależało jedynie od kaprysu tajemniczych sterników kierujących tym przyrządem, który gdyby się zanurzył, zginęlibyśmy bez ratunku. Jeśli ten wypadek nie zajdzie, to ani wątpiłem, że wejdziemy z nimi w stosunki. Bo i w rzeczy samej, jeśli sobie sami nie wytwarzali powietrza, to musieli od czasu do czasu powracać na powierzchnię oceanu dla odświeżenia go i łatwiejszego oddychania – co musi się dzieć za pomocą jakiegoś otworu, który by wewnątrz statku łączył z atmosferą.

Co zaś do nadziei ocalenia nas przez kapitana Farraguta, tej wypadło wyrzec się zupełnie. Płynęliśmy na zachód, a szybkość nasza, względnie bardzo niewielka, wynosić mogła ze dwanaście mil na godzinę. Śruba rozbijała fale z matematyczną jednostajnością, wychylając się niekiedy i wyrzucając wodę fosforyzującą do znacznej wysokości.

Około czwartej godziny z rana szybkość przyrządu wzrosła tak, że fale silnie nas potrącały; z trudnością przyszło nam się utrzymać. Na szczęście Ned namacał wypadkiem szeroką obręcz otaczającą górną część grzbietu i do tej mocnośmy się przyczepili.

Przeszła nareszcie ta długa noc. Zawodna moja pamięć nie dochowała wszystkich doznanych naówczas wrażeń. Jeden tylko przypominam sobie szczegół. Mianowicie podczas spokoju na morzu i przy cichym wietrze niejednokrotnie słyszałem jakieś tony niewyraźne, jakby przelotną harmonię oddalonymi wywołaną akordami. Jakaż więc była tajemnica tej żeglugi podmorskiej, której wyjaśnienia świat cały szukał na próżno? Jakież istoty przebywały w tym dziwnym statku? Jakież mechaniczne czynniki przenosiły go z miejsca na miejsce z szybkością tak nadzwyczajną?

Dzień się robił; jeszcze poranne mgły otaczały nas, ale wkrótce rozwiać się miały. Chciałem przystąpić do uważnego zbadania kadłuba, który w górnej swej części tworzył pewien rodzaj platformy poziomej, kiedym poczuł, że się statek poczyną z wolna zanurzać.

– Eh! Do tysiąca diabłów! – wrzasnął Ned Land, tupnąwszy nogą w blachę – otwórzcie nam, żeglarze niegościnni!

Lecz trudno, aby nas usłyszano wśród ogłuszających uderzeń śruby. Na szczęście ustało zanurzanie się statku.

Nagle dał się słyszeć wewnątrz odgłos gwałtownie odsuwanych zawiasów. Spod klapy podniesionej wyrzwał człowiek, dziwnie krzyknął i zniknął natychmiast.

W kilka minut potem ośmiu tęgich zuchów z twarzami zakrytymi ukazało się w milczeniu i wciągnęli nas do wnętrza swej strasznej maszyny.

Mobilis in mobili

Tego gwałtownego porwania nas dokonano z szybkością błyskawicy. Nie mieliśmy czasu obejrzeć się, jak to powiadają; nie wiem, czego doświadczyli moi towarzysze, czując się wciągani do tego więzienia pływającego, lecz mnie dreszcz przebiegł po całym ciele. Z kim mieliśmy do czynienia? Zapewne z jakimiś rozbójnikami nowego rodzaju wyzyskującymi morze w swój sposób.

Zaledwie zamknął się za mną ciasny otwór, znalazłem się w ciemności zupełnej; nagle przeniesiony ze światła w ciemnicę, nic w pierwszej chwili dostrzec nie mogłem. Czułem, że moje nogi nagie wlokły się po stopniach żelaznej drabiny. Ned Land i Conseil, silnie pochwyceni, wleczeni byli za mną. U spodu drabiny drzwi uchyliły się i natychmiast za nami zamknęły z ponurym odgłosem.

Byliśmy sami. Gdzie? Wówczas nie wiedziałem jeszcze. Wszystko było czarne, ale to tak czarne, że po upływie kilku minut oczy moje nie mogły jeszcze pochwycić tej jasności nieokreślonej, jaka wydobywa się spośród najgłębszej nawet ciemności.

Ned Land, rozgniewany takim sposobem postępowania, nie powściągał swego oburzenia.

– Do miliona diabłów! – wołał – oto ludzie, którzy przypominają gościnnością Kaledończyków! Brakuje tylko, aby byli ludożercami. Nie dziwiłoby mnie to wcale; doprawdy, nie dałbym się zjeść tak łatwo.

– Uspokój się przyjacielu, uspokój się – rzekł spokojnie Conseil. – Nie unoś się przedwcześnie. Jeszcze przecież nie jesteśmy na rożnie.

– To prawda, że nie na rożnie – odparł Kanadyjczyk – ale z pewnością w piecu. Tak tu ciemno. Na szczęście mam mój *bowie knife*⁶² przy sobie, a widzę jeszcze tyle, że użyć go potrafię w potrzebie. Pierwszy z tych zbójów, który się zbliży do mnie...

– Nie gniewaj się niepotrzebnie, Ned, i nie narażaj nas wszystkich tą przedwczesną gwałtownością. Kto wie, czy nas nie podsłuchują. Lepiej starajmy się dowiedzieć, gdzie jesteśmy.

Szedłem po omacku. Wkrótce napotkałem ścianę z blach spajanych. Zwracając się w przeciwną stronę, znalazłem stół drewniany obstawiony stołkami bez poręczy. Podłoga tego więzienia zasłana była dość grubą matą z formium⁶³, co przygłuszało odgłos kroków. Na gołych ścianach nigdzie nie było śladów drzwi ani okien. Conseil, idąc z przeciwnej strony, spotkał się ze mną – i powróciliśmy do środka tej kajuty mającej, jak się zdawało, dwadzieścia stóp długości, a dziesięć szerokości; wysoka zaś była tak, że Ned Land, pomimo swego ogromnego wzrostu, swobodnie się w niej mieścił.

Pół godziny upłynęło tak bez żadnej zmiany, gdy nagle z zupełnej ciemności wzrok nasz przeszedł do światła bardzo natężonego. Więzienie nasze rozwidniło się od razu, to jest napełniło się światłem tak mocnym i żywym, że z początku znieść tego blasku nie było można. Po białości i natężeniu poznałem światło elektryczne wywołujące wkoło statku podmorskiego owo zjawisko fosforescencji. W pierwszej chwili zamknąłem oczy mimowolnie, a otworzywszy je, spostrzegłem, że światło wydobywało się z matowej półkuli umieszczonej w górnej części kajuty.

– Nareszcie widać coś przecie! – zawołał Ned Land, który ze swym nożem w ręku stał w postawie obronnej.

– Niemniej jednak – zauważyłem – położenie nasze ciągle jest ciemne.

– Cierpliwości! – odezwał się powolny i spokojny Conseil.

Oświetlenie kajuty pozwoliło obejrzeć ją w najdrobniejszych szczegółach. Nic w niej nie było prócz stołu i pięciu stołków. Drzwi ukryte musiały być hermetycznie zamknięte. Żaden

⁶² *bowie knife* – duży nóż, jaki Amerykanie zwykle noszą przy sobie.

⁶³ *formium* – rodzaj szerokolistnej trzciny; len nowozelandzki.

szmer nie dochodził do naszych uszu. Wszystko zdawało się martwym wewnątrz tego statku. Czy posuwał się on naprzód, czy był na powierzchni oceanu, czy też zanurzył się w jego głębiach – odgadnąć tego nie mogłem.

Jednakże światło nie bez przyczyny się ukazało. Sądziłem, że w ślad za nim przyjdą i ludzie. Nie oświeciła się miejsca, jeżeli się chce zapomnieć o istotach tam zamkniętych.

Nie omyliłem się. Wkrótce posłyszeliśmy hałas odsuwanych rygli; drzwi się uchyliły, weszło dwoje ludzi.

Jeden był małego wzrostu, muskularny, barczysty, z członkami silnie rozrośniętymi, z głową dużą, obficie pokrytą czarnymi włosami, z wąsem gęstym, wzrokiem żywym i przenikliwym – w całej swej postawie nacechowany tą południową żywością, która charakteryzuje we Francji ludność prowansalską. Diderot słusznie utrzymywał, że gest człowieka jest metaforyczny. Ten mały człowieczek żywym był zdania tego potwierdzeniem. Czuć było od razu, że w zwykłej swej mowie musiał on hojnie używać prozopopei⁶⁴, metonimii⁶⁵ lub innych tego rodzaju postaci mowy – czego zresztą nigdy sprawdzić nie mogłem, gdyż w obecności mojej używał zawsze jakiegoś szczególnego i całkiem dla mnie niezrozumiałego języka.

Drugi nieznajomy zasługuje na bardziej szczegółowe opisanie. Uczeń Gratioleta lub Engela czytałby w jego twarzy jak w otwartej księdze. Ja poznałem w nim od razu przeważne jego przymioty: pewność siebie, bo głowa jego wspaniale odbijała na łuku linii ramion, a czarne oczy z chłodną spoglądały pewnością; spokój, bo skóra jego, biała raczej niż kolorowa, stwierdzała krew zimną; energię, którą poznać było można z nagłego marszczenia brwi; odwagę nareszcie, bo jego silny i pełny oddech zapowiadał znaczny zasób sił żywotnych.

Dodam jeszcze, że ten człowiek miał minę wyniosłą, że pewny i spokojny wzrok jego odbijał wielkie myśli; a wszystko to razem w ruchach ciała i twarzy składało się, wedle fizjonomistów, na wytworzenie szczerości niezaprzeczonej.

Czułem się wobec niego mimowolnie uspokojony, stąd wróżyłem dobrze o naszym spotkaniu.

Czy ten człowiek miał trzydzieści pięć lat, czy też pięćdziesiąt, tego dokładnie oznaczyć bym nie umiał. Wzrost miał wysoki, czoło szerokie, nos prosty, usta czysto narysowane, zęby śliczne, ręce delikatne.

Miał to szczególne, że oczy jego, nieco oddalone jedno od drugiego, mogły jednocześnie ogarnąć prawie czwartą część widnokregu. Własność ta, sprawdziłem później, wzmagała się jeszcze bystrością wzroku, większą, niż ją posiadał Ned Land. Gdy ten nieznajomy patrzył na jakiś przedmiot, wówczas marszczył brwi, przymrużał szerokie swe powieki, jakby chciał tym sposobem zmniejszyć dla źrenicy rozległość przestrzeni, na którą spoglądał. A cóż to był za wzrok! Jakże on zwiększał przedmioty zmalełe przez oddalenie! Jak przenikał te masy wodne i czytał w głębi oceanów!

Dwaj nieznajomi mieli na głowach berety z futra wydry morskiej; odzież zaś z jakiejś tkaniny szczególnej, która dobrze odznaczała ich postać i pozwalała na wielką swobodę ruchów.

Wyższy z nich, widocznie dowódca statku, przypatrywał nam się z nadzwyczajną uwagą, nie mówiąc ani słowa. Potem, zwracając się do swego towarzysza, rozmawiał z nim niezrozumiałym dla mnie językiem. Był to język dźwięczny, harmonijny, giętki, którego samogłoski zdawały się ulegać bardzo niejednostajnemu akcentowaniu.

Drugi odpowiedział poruszeniem głowy i dodał dwa lub trzy wyrazy całkiem niezrozumiałe; po czym wzrokiem wyraźnie mnie badał.

⁶⁴ *prozopopeja* – zabieg retoryczny polegający na wprowadzeniu w obręb wypowiedzi pozornych cytatów słów tych, którzy nie mogą rzeczywiście wypowiedzieć się: zmarłych, nieobecnych, a nawet (poprzez personifikację) przedmiotów, zwierząt, zjawisk i pojęć.

⁶⁵ *metonimia* – zastępnia; odmiana metafory; figura retoryczna mająca na celu zastąpienie nazwy jakiegoś przedmiotu lub zjawiska nazwą innego, pozostającego z nim w uchwytnej zależności; np. lubię czytać Miłosa (zam. utwory Miłosa).

Odpowiedziałem mu po francusku, że nie rozumiem jego języka, lecz on nie zdawał się rozumieć tego, co mówię; położenie więc stawało się coraz kłopotliwsze.

– Niech opowiedzą naszą historię – rzekł do mnie Conseil. – Może ci panowie pochwycą choć niektóre wyrazy z tego.

Rozpocząłem więc opowiadanie naszych przygód, bardzo pomału i dobitnie, nie opuszczając najmniejszego szczegółu; wymienilem nasze nazwiska i stan każdego, a potem formalnie przedstawiłem siebie jako profesora Aronnax'a, Conseil'a jako mego służącego i Neda Landa jako oszczepnika.

Człowiek z oczyma łagodnymi i spokojnymi słuchał mnie cierpliwie, grzecznie nawet i z widoczną uwagą. Lecz z twarzy jego nie można było wnosić, czy zrozumiał moje opowiadanie. Gdy skończyłem, nie wyrzekł ani słowa.

Wypadałoby spróbować języka angielskiego. Może damy się zrozumieć w tej mowie, która dziś stała się prawie powszechną. Umiałem po angielsku tak dobrze jak i po niemiecku, ale do czytania tylko a nie do rozmowy, a tu chodziło głównie o zrozumienie się obopólne.

– No, teraz na ciebie kolej, mości Landzie; zdobądź się na najlepszą angielszczyznę, jaką kiedykolwiek mówił czystej krwi Anglo-Sakson, a może będziesz ode mnie szczęśliwszy.

Ned prosić się nie dał i powtórzył moje opowiadanie. Rzecz była ta sama, lecz opowiadanie różniło się formą. Kanadyjczyk ożywił je bardzo wskutek porywczowości swego charakteru. Skarżył się gwałtownie na uwięzienie go z pogwałceniem wszelkich praw ludzkich; zapytywał, na mocy czego był zatrzymany, powoływał się na *habeas corpus*⁶⁶, groził, że będzie dochodzić swej krzywdy, rzucał się, gestykulował, a w końcu znakiem bardzo wyraźnym dał do zrozumienia, że umieramy z głodu.

Tak było w istocie, choć prawieśmy o tym zapomnieli.

Wielce się zdziwił oszczepnik, widząc, że go nie lepiej ode mnie rozumiano. Nasi goście zdawali się nic nie pojmować: ani w mowie Araga, ani w języku Faraday'a.

Mocno zakłopotani, wyczerpawszy na próżno nasze zasoby filologiczne, nie wiedzieliśmy, co dalej czynić, kiedy Conseil szepnął mi do ucha:

– Gdyby pozwolili, to ja opowiedziałbym rzecz całą po niemiecku.

– Jak to! Ty umiesz po niemiecku? – zawołałem.

– Jak Flamandczyk, z przeproszeniem.

– Nie masz za co przeproszać. I owszem, mój chłopcze, i owszem, zaczynaj.

Conseil spokojnym głosem po raz trzeci opowiedział nasze przygody. Lecz pomimo eleganckich zwrotów i silenia się na jak najlepsze wymawianie, niemczyzna także została bezskuteczna.

Na koniec, potrzebą przynaglony, przypominając sobie wszystko, co mi w pamięci pozostało ze szkolnych mych czasów, chciałem rzecz przedstawić po łacinie. Cyceon byłby sobie zatkał uszy i wypędził mnie do kuchni. Bądź co bądź wybrnąłem z przedsięwzięcia, lecz... Bez skutku!

Po tej ostatniej próbie dwaj nieznajomi, zamieniwszy ze sobą kilka wyrazów w swej mowie niezrozumiałej, wyszli, nie pożegnawszy nas nawet jednym z owych uspokajających gestów rozumianych w całym świecie.

Gdy się drzwi za nimi zamknęły, Ned Land gwałtownie zawołał:

– To niegodziwość! Jak to! Mówi się do tych łotrów po francusku, po angielsku, po niemiecku, po łacinie, a żaden z nich nie chce odpowiedzieć.

– Uspokój się, Ned – rzekłem do wrzącego oszczepnika – gniew do niczego nie doprowadzi.

– Ale czy wiesz, panie profesorze – odpowiedział nasz gniewliwy towarzysz – że można by śmiało z głodu umrzeć w tej klatce żelaznej.

⁶⁶ *habeas corpus* – ustawa angielska, na mocy której zabronione było aresztowanie obywatela bez nakazu sędziego, jednocześnie zapewniała postępowanie przed właściwym sędzią.

– Och! – odparł filozoficznie Conseil – jeszcze dość długo można wytrzymać.

– Moi przyjaciele – rzekłem – nie trzeba tracić nadziei. Znajdujemy się wprawdzie w nie najlepszych warunkach, ależ czekajmy, aż sobie będziemy mogli wyrobić opinię o dowódcy i załodze tego statku.

– Ja mam już o nich dokładną opinię – odpowiedział Ned Land. – Są to łotry...

– Dobrze, ale z jakiego kraju?

– Z kraju łotrów!

– Mój pocziwcze, ten kraj nie jest jeszcze dokładnie oznaczony na mapie, a tu właśnie narodowość tych dwóch nieznajomych najtrudniejsza jest do oznaczenia! Wiemy tylko, że to nie Francuzi, nie Anglicy i nie Niemcy. Jednakże nie wiem dlaczego, ale tak mi się zdaje, że obaj oni zrodzeni są niedaleko równika. Jest w nich coś południowego. Ale czy to Hiszpanie, Turcy, Arabowie, czy Indianie, tego z ich typu fizycznego poznać nie można. Co do ich mowy, tej stanowczo nie rozumiem.

– Co to za nieprzyjemności spotykają człowieka, gdy nie posiada wszystkich języków – wtrącił Conseil – jak to źle, że nie ma jednego, dla wszystkich wspólnego, języka!

– I to by się na nic nie zdało – odpowiedział Ned Land. – Czyż nie widzisz, że ci ludzie mają swój odrębny język, język wymyślony na to, aby do rozpacz przywozić biednych ludzi żądających obiadu? Przecież we wszystkich krajach na świecie zrozumiano by mnie, skoro bym otworzył usta, poruszył szczękami, kłapnął zębami i wargami! Czy to nie znaczy, tak dobrze w Quebecu jak i w Paumotu, w Paryżu jak i na antypodach: „Głodny jestem, dajcie mi jeść”?

– O! – rzekł Conseil. – Są natury tak niedomyślne!

Gdy domawiał te słowa, drzwi się otworzyły. Wszedł posługacz niosący dla nas odzież: koszulki i spodnie do żeglugi morskiej przydatne, zrobione z materii, której gatunku rozpoznać nie mogłem. Z pośpiechem ubraliśmy się, a posługacz tymczasem niemy, może i głuchy nawet, ustawił stół i położył na nim trzy nakrycia.

– A, to już coś na serio – rzekł Conseil – i wcale się nieźle zaczyna.

– Eh! Do diabła! – mruknął gniewliwy oszczepnik – cóż my tu jeść możemy? Wątróbkę żółwia, poledwicę z rekina i befsztyk z psa morskiego⁶⁷!

– Zobaczymy – odpowiedział Conseil.

Półmiski przykryte srebrnymi pokrywami, symetrycznie ustawione na stole czekały na nas. Usiadłszy, poznaliśmy, że mamy do czynienia z ludźmi ucywilizowanymi – i gdyby nie zalewające nas światło elektryczne, sądziłbym, że się znajduję w jadalnej sali hotelu Adelphi w Liverpoolu albo Grand Hôtel w Paryżu. Jednakże dodać muszę, że chleba i wina brakowało zupełnie. Woda była czysta, świeża, ale to zawsze woda tylko – co wcale nie przypadło do smaku Ned Landowi. Pomiedzy potrawami, jakie nam podano, poznałem różne ryby delikatnie przyrządzone, lecz o niektórych daniach nic nie umiałem powiedzieć, a to tak dalece, że nie umiałbym oznaczyć, czy one należą do królestwa zwierzęcego, czy też roślinnego. Co do nakrycia, to było i wytworne, i gustowne. Łyżki, widelce, noże, talerze – miały na sobie literę otoczoną wyrazami dewizy, co się tak przedstawiało:

Mobilis

N.

In mobili

⁶⁷ pies morski – inaczej foka pospolita.

„Ruchome w ruchomym”! Dewiza ta stosowała się do tego statku podmorskiego – i dlatego właśnie przyimek *in* tłumaczy się przez **w** a nie przez **na**. Litera N. była zapewne początkową głoską imienia zagadkowej osoby rozkazującej w głębinach morskich.

Ned i Conseil, nie wdając się w żadne uwagi lub roztrząsania, zabrali się do jedzenia, a ja wkrótce poszedłem za ich przykładem. Zresztą byłem spokojny o nasz los i wiedziałem tyle przynajmniej, że nasi gospodarze nie mieli zamiaru zamorzyć nas głodem.

Wszystko jednakże ma swój koniec na tym padole; wszystko mija, nawet głód ludzi, którzy nie jedli od piętnastu godzin. Zaspokoiwszy apetyt, uczuliśmy gwałtowną potrzebę snu. Reakcja bardzo naturalna po nieskończonej długiej nocy, podczas której walczyliśmy ze śmiercią.

– Pewien jestem, że będę spał wybornie – rzekł Conseil.

– A ja już śpię! – odpowiedział Ned Land.

Dwaj moi towarzysze wyciągnęli się na dywanie i wkrótce zapadli w najgłębszy sen.

Ja nie tak łatwo uległem gwałtownej potrzebie snu. Zbyt wiele cisnęło mi się myśli do głowy, zbyt wiele przedstawiało mi się pytań i zagadnień nierozwiązanych, abym tak łatwo mógł zmrużyć powieki. Gdzie byliśmy? Jakaż dziwna i niepojęta siła nas niosła? Czulem, a przynajmniej zdawało mi się, że czuję, jak przyrząd zanurzał się w najgłębsze warstwy morza. Widma mnie jakieś ścigały. W tym tajemniczym schronieniu dostrzegałem cały świat zwierząt nieznanych, których bratem rodzonym, żywym, poruszającym się i jak one wielkim był ten statek podmorski... Wkrótce jednak mózg mój uspokoił się; wyobrażenia rozplynęła się w niewyraźnej jakiejś, błędnej senności i zapomniałem o wszystkim, pogrążony w śnie głębokim.

Gniewy Neda Landa

Nie wiem, jak długo trwał ten sen, ale musiał być długi, bo, przebudziwszy się, czułem, że zupełnie wypoczął. Obudziłem się pierwszy; towarzysze moi spoczywali jeszcze głęboko uspieni, każdy w swoim kącie.

Zaledwie powstał z tego posłania dość twardego, czułem się rzeźwym na umyśle i rozpocząłem zaraz przegląd baczny naszej celki.

Nic się nie zmieniło w jej urządzeniu wewnętrznym. Więzienie pozostało więzieniem, a więźniowie więźniami. Służący tylko podczas naszego snu zdjął ze stołu nakrycie. Nic przeto nie zapowiadało bliskiej zmiany w naszym położeniu i na serio zapytywałem sam siebie, czy przeznaczeniem naszym było na zawsze pozostać w tej klatce.

Byłoby mi to tym przykrejsze, że o ile głowę miałem swobodniejszą, o tyle piersi czułem przytłoczone. Oddychałem z trudnością i ciężkie powietrze nie wystarczało dla płuc moich. Jakkolwiek cela była dość przestronna, widocznie jednak zużyliśmy w większej części tlen w niej zawarty. Wiadomo, że każdy człowiek zużywa na godzinę tlen zawarty w stu litrach powietrza, a powietrze nasycone w tym czasie prawie taką samą ilością kwasu węglowego, staje się niezdadne do oddychania.

Trzeba więc było koniecznie odświeżyć je w naszej kajucie, a zapewne i na całym statku podmorskim.

Tu mi się nastroczało pytanie, jak sobie radził w takim razie dowódca tego budynku pływającego? Jeśli otrzymywał powietrze sposobami chemicznymi, to jest wywiązując tlen za pomocą gorąca z chloranu potażu – a wchłaniając kwas węglowy wodanem potażu, to musiał utrzymywać stosunki z lądem, aby sobie zapewnić materiały potrzebne do tego. Może poprzestawał na nagromadzeniu powietrza pod wysokim ciśnieniem w zbiornikach i wypuszczaniu go następnie odpowiednio do potrzeby swojej załogi? Być może. Albo też używał sposobu najprostszego, najwygodniejszego, najtańszego, a przeto najpraktyczniejszego i wypływał jak wieloryb na powierzchnię wód dla oddychania i odświeżania swego zapasu powietrza na dwadzieścia cztery godziny? Jakiegokolwiek używał metody, to użyć jej powinien co prędzej.

Już coraz częściej i trudniej oddychałem dla wciągnięcia w siebie niewielkiej ilości tlenu, jaki się jeszcze w celi naszej znajdował – gdy nagle orzeźwił mnie prąd powietrza czystego i przesiąkniętego słonymi wyziewami. Był to powiew morski, orzeźwiający i nasycony jodem. Otworzyłem szeroko usta, wciągając do płuc świeże powietrze. W tejże samej chwili uczułem kołysanie, niegwałtowne wprawdzie, ale bardzo wyraźne. Statek, potwór żelazny, wypływał widocznie na powierzchnię oceanu, aby tam odetchnąć jak wieloryb. Poznałem więc sposób odświeżania powietrza na okręcie.

Gdym się już pełną piersią nałykał świeżego powietrza, szukałem komunikacji z powietrzem zewnętrznym, czyli *aerifera*, jak go nazywają, który nam go dostarczał, i znalazłem go bez trudności. Nad drzwiami widniał otwór wentylacyjny wpuszczający słup świeżego powietrza zastępującego powietrze zepsute naszej celi.

Gdym się tymi spostrzeżeniami zajmował, Conseil i Ned zbudzili się razem prawie, pod wpływem wietrzyka orzeźwiającego. Przetarli oczy, przeciągnęli ramiona i zerwali się na równe nogi.

– Czy pan dobrze spał? – zapytał Conseil ze zwykłą sobie grzecznością.

– Bardzo dobrze, mój kochany – odpowiedziałem – a ty, panie Nedzie Landzie?

– Smacznie i głęboko, panie profesorze; ale czy nie jestem w błędzie, bo zdaje mi się, jakbym oddychał morskim powietrzem.

Marynarz nie mógł się omylić w tym względzie. Opowiedziałem Kanadyjczykowi, co zaszło podczas snu jego.

– Wybornie – rzekł – to nam właśnie objaśnia te ryki, jakie słyszeliśmy, gdy mniemany narwał znajdował się w takiej od „Abrahama Lincolna” odległości, że widzieć go stamtąd było można.

– Tak jest, mości Landzie, to było jego oddychanie.

– Panie Aronnax, nie mogę zmiarkować, która godzina, lecz zdaje mi się, że to już pora obiadu!

– Obiadu? Powiedz raczej śniadania, mój zacny przyjacielu, bo o ile miarkuję, wczoraj już minęło.

– Co by nas przekonywało – wtrącił Conseil – że spaliśmy dwadzieścia cztery godziny.

– I mnie się tak zdaje – odpowiedziałem.

– O to się spierać nie myślę – odrzekł Ned Land. – Wszystko jedno, czy obiad, czy też śniadanie... Mógłby je już przynieść sługa okrętowy.

– Mógłby przynieść jedno i drugie razem – dodał Conseil.

– Tak jest – wtrącił Kanadyjczyk – mamy prawo do dwóch jedzeń i co do mnie, zaręczam, że dam im radę.

– Czekajmy – odpowiedziałem. – Widocznie nie mają tu zamiaru głodem nas zamorzyć, bo po co by nam dawali wczoraj obiad.

– Czy tylko nie mają zamiaru nas utuczyć – zauważył Ned.

– Ale gdzież tam – odrzekłem – nie wpadliśmy przecież w ręce ludożercy.

– Z jednego zdarzenia sądzić nie można – rzekł Kanadyjczyk całkiem serio. – Kto wie, czy ci ludzie nie są od dawna pozbawieni świeżego mięsa; a w takim razie trzy zdrowe i dobrze zbudowane indywidua jak pan profesor, jego służący i ja...

– Pozbądź się tych myśli, panie Landzie – rzekłem do oszczepnika – a co najważniejsze, nie bierz tego za punkt wyjścia do wystąpienia przeciwko naszym gospodarzom, co mogłoby tylko pogorszyć nasze położenie.

– W każdym razie – wrzasnął oszczepnik – jeść mi się chce jak sto diabłów, a tu nie przynoszą ani śniadania, ani obiadu!

– Trzeba się zastosować do przepisów na pokładzie przyjętych, a zdaje mi się, że nasz żołądek idzie wcześniej niż zegar tutejszy.

– To trzeba jeden zatrzymać lub posunąć drugi – spokojnie dodał Conseil.

– Poznaję cię, przyjacielu Conseil – odpowiedział niecierpliwy Kanadyjczyk. – Niewiele zużywasz zółci i nerwów! Zawsze spokojny! Wolałbyś z głodu umrzeć, aniżeli narzekać.

– Bo i na cóż by się to przydało? – odpowiedział Conseil.

– I to coś znaczy! I gdyby ci rozbójnicy, a nazywam ich tak przez wzgląd na pana profesora, który ich zabrania nazywać kanibalami, wyobrażali sobie, że zatrzymają mnie w tej klatce zaduszonej, to grubo by się pomylili. Co myślisz, panie Aronnax, czy długo oni zamierzają nas trzymać w tym żelaznym pudle?

– Prawdę powiedziawszy, nie więcej wiem pod tym względem od ciebie, przyjacielu Landzie.

– Ale jak pan przypuszczasz?

– Przypuszczam, że przypadek uczynił nas panami ważnej tajemnicy. Otóż, jeżeli załoga tego podmorskiego statku ma interes w zachowaniu jej, a interes ten większy jest niż życie trzech ludzi, to życie nasze jest mocno narażone. W przeciwnym wypadku potwór wypuści nas na świat przy pierwszej lepszej sposobności.

– Czy tylko nie zechce zaliczyć nas do swej załogi i zatrzymać nas tym sposobem...

– Aż do chwili – wtrącił Ned Land – w której jakaś fregata szybsza lub zręczniejsza niż „Abraham Lincoln” opanuje to gniazdo łotrów i wyśle nas i jego załogę, abyśmy po raz ostatni odetchnęli na jej wielkiej rei.

– Wszystko to dobrze, panie Nedzie Landzie – dorzuciłem – lecz dotychczas nic jeszcze nam nie grozi. Po cóż mówić o rzeczach przypuszczalnych? Powtarzam, że wypada czekać, więc czekajmy; a nie róbmy nic, dopóki nie ma co robić.

– Przeciwnie, panie profesorze – odrzekł rozdrażniony oszczepnik – trzeba coś robić koniecznie.

– Cóż więc chcesz robić?

– Ocalić nas.

– Z więzienia ziemskiego umknąć zwykle bardzo już trudno, ale z podmorskiego zdaje mi się całkiem niepodobna.

– A cóż mości Ned powie na to? – wtrącił Conseil. – Przecież Amerykaninowi nigdy pomysłu zabraknąć nie powinno.

Oszczepnik, widocznie zakłopotany, milczał. Ucieczka w warunkach, w jakich nas wypadki postawiły, była całkiem niepodobna. Lecz Kanadyjczyk jest zawsze na pół Francuzem, jak tego Ned Land dowiódł swą odpowiedzią.

– Więc, panie Aronnax – rzekł po chwili zastanowienia – nie zgadujesz, co mają robić ludzie niemogący ująć ze swego więzienia?

– Nie, mój przyjacielu.

– Tak się urządź, aby w nim pozostać mogli.

– A w każdym razie – dodał Conseil – lepiej pozostać w środku, niż z wierzchu lub pod spodem.

– Wyrzuciwszy naprzód strażników i kluczników – dodał Ned Land.

– Jak to, Ned, więc myślisz na serio o opanowaniu tego statku?

– Bardzo na serio – odpowiedział Kanadyjczyk.

– To być nie może.

– Dlaczego nie? Możemy się przecie doczekać jakiejś przyjaznej sposobności i skorzystać z niej. Jeśli ich tu nie ma więcej niż dwudziestu ludzi, to sądzę, że się ich nie zleknią dwaj Francuzi i jeden Kanadyjczyk.

Pomyślałem sobie, że lepiej będzie przyjąć propozycję oszczepnika, aniżeli się nad nią zastanawiać; dlatego też odpowiedziałem.

– Czekajmy wypadków, mości Nedzie Landzie, a zobaczymy; tymczasem błagam cię, powstrzymaj twą niecierpliwość. Tu działać można tylko podstępem, a więc oględnie i chłodno. Daj mi słowo, że cokolwiek bądź zajdzie, nie będziesz się gniewał.

– Daję słowo, panie profesorze – odpowiedział Ned Land, acz tonem nie bardzo upewniającym. – Ani jeden gwałtowny wyraz nie wyjdzie z ust moich; nie zdradzę się żadnym gestem, choćby nawet nie podawano nam do stołu z pożądaną dla mnie regularnością.

– Mam więc twoje słowo – rzekłem do Kanadyjczyka.

Rozmowa umilkła, a każdy z nas rozważał położenie. Przyznam się, że co do mnie, pomimo zapewnień oszczepnika, nie łudziłem się bynajmniej i nie spodziewałem się tych szans przyjaznych, jakie się jego myśli nastreślały. Statek podmorski tak wybornie kierowany wymagał widocznie znacznej liczby ludzi do swej obsługi, a więc na wypadek walki mielibyśmy do czynienia z licznymi przeciwnikami. Zresztą trzeba było najpierw, abyśmy odzyskali wolność, a myśmy byli zamknięci i nie widziałem sposobu wyjścia z celi hermetycznej. Jeśli dziwny dowódca tego statku chciał zachować tajemnicę, co zdawało się prawdopodobnym, to nie pozwoli nam działać swobodnie na pokładzie swojego okrętu. Jeśli zaś gwałtem nas się pozbędzie, to gdzież nas wyrzuci, kiedy i na jaki kawałek ziemi? Wszystko można było przypuszczać i chyba tylko jeden oszczepnik mógł mieć nadzieję odzyskania wolności.

Widziałem, że Neda Landa myśl pracuje.

Zaczął powoli kląć, a ruchy jego coraz groźniejsze były. Wstawał, chodził jak zwierz dziki w klatce, bił o ścianę pięściami i nogami, a czas płynął swoją drogą, głód coraz silniej uczuwać się dawał, sługa zaś okrętowy nie przybywał. Jeśli nie miano nic złego nam zrobić, to postępowanie takie z nami było bardzo niewłaściwe.

Ned Land, dręczony wymaganiami swego olbrzymiego żołądka, zapalał się coraz więcej i obawiał się, aby pomimo danego mi słowa nie wybuchnął przy zetknięciu się z ludźmi załogi.

Taki stan trwał jeszcze przez dwie godziny; gniew Neda Landa wzrósł do strasznych rozmiarów. Wołał, krzyczał, ale na próżno. Ściany żelazne były głuche. Nie słyszałem nawet najmniejszego szmeru z zewnątrz, jakby na statku wszyscy wymarli. Nie poruszał się on, bo czułbym drżenie jego szkieletu pod działaniem śruby; zapewne zanurzony w przepaści wód nie należał już do ziemi. Ponure to milczenie przerażało mnie.

Nie umiałem sobie zdać sprawy z czasu, przez jaki już byliśmy zamknięci. Traciłem nadzieję, jaką powziąłem po pierwszym ujrzeniu naszego dowódcy. Słodczy spojrzenia tego człowieka, łagodny wyraz jego fizjonomii, jego szlachetna postawa – wszystko to zacierało się w mych wspomnieniach. Zagadkowa ta postać ukazywała mi się teraz taką, jaką koniecznie być musiała: niewzruszoną, okrutną. Czułem, że człowiek ten zerwał z ludzkością, zabronił do siebie przystępu wszelkiemu uczuciu litości, stał się wrogiem swych bliźnich, którym musiał wypowiedzieć wieczną wojnę!

Chciałże nas zamorzyć⁶⁸ głodem w tym ciasnym więzieniu?

Ta straszna myśl ogarnęła mnie całego, a rozdrażniony jeszcze głodem, zapadłem w straszne przerażenie. Conseil stał spokojny, Ned Land ryczał z wściekłości.

W tej chwili dał się słyszeć szmer z zewnątrz. Kroki rozległy się po metalowej podłodze. Odsunięto wrzeciadze⁶⁹, drzwi otworzono i ukazał się sługa okrętowy.

Zanim zdążyłem przeszkodzić, Kanadyjczyk rzucił się już na niego, powalił na ziemię i ścisnął za gardło. Sługa dusił się pod uściskiem.

Conseil poskoczył na pomoc biedakowi na pół już uduszonemu – a i ja zabierałem się poprzec mego służącego, gdy nagle, jak przybity do ziemi, wstrzymałem się słysząc te wyrazy po francusku:

– Uspokój się, mości Land, a pan, panie profesorze, chciej mnie posłuchać.

⁶⁸ *chciałże zamorzyć* – konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy chciał zamorzyć.

⁶⁹ *wrzeciadz* – urządzenie do zamykania drzwi lub bramy.

Pan wód

Mówił to dowódca statku.

Na te wyrazy Ned Land podniósł się nagle. Służący okrętowy, o mało co nie zduszony, wyszedł, chwiejąc się, na znak swego pana, a taka była władza dowódcy na jego okręcie, że pokrzywdzony najmniejszym ruchem nie śmiał zdradzić swej niechęci do Kanadyjczyka. Conseil zaniepokojony mimowolnie, a ja oniemiały, czekaliśmy w milczeniu na rozwiązanie tej sceny. Dowódca oparty o róg stołu, z rękoma na piersi skrzyżowanymi, przypatrywał się nam z głęboką uwagą. Czy wahał się mówić? Czy żałował tych kilku wyrazów wymówionych po francusku? Tak można było sądzić.

Po kilku chwilach milczenia, którego nikt z nas przerywać nie miał zamiaru, rzekł głosem spokojnym i przejmującym:

– Panowie, umiem zarówno dobrze po francusku, po angielsku, po niemiecku i po łacinie. Mogłem więc odpowiedzieć wam przy pierwszym zaraz widzeniu się z wami, lecz chciałem was najpierw poznać, a potem zastanowić się. Wasze czterokrotne, zupełnie zgodne opowiadanie wczorajsze upewniło mnie co do tożsamości osób waszych. Wiem teraz, że przypadek postawił wobec mnie pana Piotra Aronnax'a, profesora historii naturalnej w muzeum paryskim mającego misję naukową zagraniczną, Conseil'a, jego służącego, i Neda Landa, Kanadyjczyka z pochodzenia, oszczepnika na pokładzie fregaty „Abraham Lincoln” z marynarki narodowej Zjednoczonych Stanów Ameryki.

Ukloniłem się przytakująco. Komendant pytań mi nie robił, więc odpowiadać nie było na co. Wyrażał się z wielką łatwością i bez zatracania jakimkolwiek akcentem. Frazesy jego płynęły jasno, wyrazy dobierał właściwe, łatwość jego w wypowiadaniu się była zadziwiająca. A jednak „nie czułem” w nim rodaka.

Rozmowę wiódł dalej w sposób następujący:

– Zapewne zdawało się panu, że się zbyt ociągał z odwiedzeniem was powtórnie. Uczyniłem to dlatego, że sprawdziwszy tożsamość osób, chciałem dobrze rozważyć, co mam z wami zrobić. Długo się wahałem. Najprzykrejsze okoliczności postawiły was wobec człowieka, który zerwał z ludzkością. Przyszłście zakłócić moje istnienie...

– Mimowolnie – wtrąciłem.

– Mimowolnie? – odrzekł nieznajomy silniejszym nieco głosem. – A więc „Abraham Lincoln” ścigał mnie mimowolnie po wszystkich morzach? Czyż mimowolnie wsiedliście na pokład tej fregaty? A kule wasze, czy także mimowolnie odskakiwały od mego okrętu, a jegomość pan Ned Land mimowolnie uderzył w niego swoim oszczepem?

W tych wyrazach widoczny był dla mnie powściągliwy gniew. Lecz na wszystkie te zarzuty miałem bardzo naturalną odpowiedź i dałem ją.

– Panie – rzekłem – nie są ci zapewne obce wszystkie dyskusje, jakie wywołałeś w Europie i Ameryce. Pan nie wiesz o tym, że różne wypadki wywołane uderzeniem o pański statek podmorski wstrząsnęły opinią publiczną na obu półkulach. Nie mówię już o licznych przypuszczeniach czynionych dla wyjaśnienia trudnego do wytłumaczenia zjawiska, którego tajemnicę pan sam tylko posiadałeś; lecz wiedz pan o tym, że ścigając cię po morzach Oceanu Spokojnego, „Abraham Lincoln” był przekonany, że poluje na potężnego potwora, od którego za jaką bądź cenę wypadało ocean uwolnić.

Półśmiech rozjaśnił usta dowódcy, który rzekł tonem już spokojniejszym:

– Panie Aronnax, śmiałybyś twierdzić, że wasza fregata nie ścigałaby usilnie statku podmorskiego jak potwora i nie strzelała do niego?

Pytanie to mocno mnie zakłopotало; byłem pewien, że dowódca Farragut nie wahałby się ani na chwilę. Niezawodnie miałby sobie za obowiązek zniszczyć przyrząd tego rodzaju, tak samo jak narwała olbrzymiego.

– Pojmujesz więc pan – ciągnął dalej nieznajomy – że mam prawo traktować was jako mych nieprzyjaciół.

Nie było co na to odpowiedzieć, a zresztą po co rozważać położenie, gdy siła może zniweczyć wszelkie rozumowania.

– Długo się wahałem – mówił dalej dowódca. – Nic mnie do gościnności dla was nie zobowiązywało. Jeśli miałem rozstać się z wami, to nie miałem po co widzieć was powtórnie. Dostyc byłoby wywieść was na platformę tego statku, który wam służył za schronienie, zanurzyć się w głębokościach morza i już by się zapomniało, żeście na świecie istnieli. Nie miałabym prawa tak uczynić?

– Dziki mógłby dać sobie to prawo – odpowiedziałem – ale nie człowiek cywilizowany.

– Panie profesorze – żywo odpowiedział dowódca – ja nie jestem tym, co pan nazywasz człowiekiem cywilizowanym! Zerwałem ze społeczeństwem z przyczyn, które roztrząsać ja sam tylko mam prawo. Nie podlegam więc społecznym przepisom, proszę pana nigdy się na nie w mojej obecności nie powoływać.

Było to wypowiedziane bardzo dobitnie. Gniew i pogarda płonęły w oczach nieznajomego; w życiu tego człowieka straszną dopatrywałem przeszłość. Nie tylko usunął się spod praw ludzkich, ale jeszcze uczynił się niezależnym, wolnym w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu, niedosiężnym. Kto śmiałby ścigać go w głębie morskie, skoro na ich powierzchni żartował sobie z usiłowań przeciw niemu skierowanych? Jaki okręt oparłby się uderzeniu tego monitora podmorskiego? Jakiej grubości pancernik wytrzymałby uderzenie ostrogi jego statku? Nikt z ludzi nie mógł od niego żądać rachunku ze spraw jego. Bóg tylko, jeśli wierzył w niego – sumienie tylko, jeśli je miał, jedynymi, którym by mógł ulec, sędziami jego być mogli.

Takie uwagi szybko przebiegły mój umysł, a nieznajomy tymczasem milczał zamyślony, jakby zamknięty w sobie. Patrzyłem na niego z przestachem i podziwem.

Po dość długim milczeniu dowódca znowu mówić zaczął:

– Wahałem się więc, ale pomyślałem, że interes mój da się pogodzić z tą litością przyrodzoną, do jakiej każda istota ludzka ma prawo. Zostaniecie na moim statku, ponieważ fatalność na niego was rzuciła; będziecie na nim swobodni, a za tę swobodę, względną zresztą, jeden wam tylko postawię warunek, który mi słowem waszym poręczycie.

– Mów pan – odpowiedziałem – sądzę, że warunek będzie taki, jaki każdy uczciwy człowiek przyjąć może.

– Tak jest, panie. Być może, że wypadki nieprzewidziane zmuszą mnie zatrzymać panów w ich kajucie przez kilka godzin, a może nawet i przez kilka dni. Nie chcąc nigdy użyć gwałtu, w tej okoliczności, więcej jeszcze niż w każdej innej, wymagam od panów biernego posłuszeństwa. Tak działając, usuwam od was wszelką odpowiedzialność, bo ode mnie już wtedy będzie zależało nie dać wam widzieć tego, czegoście widzieć nie powinni. Czy przyjmujecie ten warunek?

Musiały więc odbywać się tam rzeczy co najmniej dziwne, skoro nie mogli ich widzieć ludzie, którzy się nie wyrzekli praw społecznych. Nie najmniejsza to była z niespodzianek, jakimi nas przyszłość miała obdarzyć.

– Przyjmujemy – odpowiedziałem – jednakże ośmielę się uczynić panu jedno tylko pytanie.

– Słucham pana.

– Powiedziałeś, że będziemy zupełnie swobodni na twym statku?

– Najzupełniej.

– Zapytuję więc pana, jak rozumiesz tę swobodę?

– Ależ swobodę chodzenia, patrzenia, przyglądania się nawet wszystkiemu, co się tu dzieje, tak samo jak i moi towarzysze, wyjąwszy w niektórych okolicznościach.

Widocznieśmy się nie rozumieli.

– Daruj pan – rzekłem – ale to swoboda więźnia mającego prawo chodzić po swojej celi... Tego nam za mało.

– A jednak musi to wam wystarczyć.

– Jak to, więc mamy się wyrzec ujrzenia kiedyś naszej ojczyzny, naszych przyjaciół, naszych krewnych!

– Tak jest, panie. Lecz wyrzec się tego nieznośnego jarzma na ziemi, które ludzie nazywają wolnością, nie tak jest trudno, jak się zdaje!

– A to pięknie! – zawołał Ned Land – ja nigdy nie dam słowa na to, że nie będę chciał umknąć.

– Nie żądam słowa, mości Nedzie Landzie – rzekł zimno dowódca.

– Panie – wtrąciłem, unosząc się mimowolnie – pan nadużywasz swego względu na położenia. To jest okrucieństwo!

– Nie, panie, to jest łaskawość. Jesteście moimi jeńcami wojennymi. Ocaliłem was, choć mógłbym jednym słowem zanurzyć was w przepaść oceanu! Wyście mnie napadli! Wyście mi przyszli wydrzeć tajemnicę, której żaden człowiek znać nie powinien, tajemnicę mojego bytu! I mniemacie, że ja was odeślę na tę ziemię, która już więcej znać mnie nie powinna! Nigdy! Zatrzymując was, nie was, ale siebie samego ochraniam.

Te wyrazy okazywały stanowcze dowódcy postanowienie, przeciwko któremu nie pomogłyby żadne argumenty.

– Tak więc – rzekłem – dajesz nam pan po prostu wybór pomiędzy życiem a śmiercią!

– Nie inaczej.

– Moi przyjaciele – rzekłem – na tak postawione twierdzenie nie ma co odpowiedzieć. Ale żadne słowo nie wiąże nas względem dowódcy tego statku.

– Żadne, panie – odpowiedział nieznajomy.

I dodał głosem łagodniejszym:

– Teraz pozwólcie mi skończyć, co miałem powiedzieć. Znam pana, panie Aronnax. Jeśli nie pańscy towarzysze, to pan nie masz powodu tak bardzo się skarżyć na wypadek wiążący cię z moim losem. Między ulubionymi książkami, do których się w moich studiach uciekam, znajdziesz pan i swoje dzieło *O wielkich głębiach morskich*. Czytałem je często. Posunąłeś się pan w nim tak daleko, jak ci na to pozwalała nauka ziemską. Lecz nie wiesz pan wszystkiego, nie wszystko widziałeś. Pozwól sobie powiedzieć, panie profesorze, że nie pożałujesz czasu spędzonego u mnie. Odbędziesz pan podróż po krainie cudów. Będziesz pan prawdopodobnie w ciągłym zdziwieniu, nie tak łatwo się nasycisz widokiem, jaki ci się ciągle nastroczać będzie. W tej nowej podróży podmorskiej, którą odbędę, a która być może ostatnią już będzie, ujrzę na nowo wszystko, com badał w głębi tych mórz tyle razy przeze mnie przebieganych, a pan będziesz moim w studiach towarzyszem. Od dnia dzisiejszego wchodzisz pan w nowy całkiem żywioł, zobaczysz pan to, czego nie widział żaden jeszcze człowiek, bo ja z moimi⁷⁰ nie liczymy się wcale, a nasza planeta, dzięki moim staraniom, panu ostatnie ujawni swoje tajemnice.

Nie mogę zaprzeczyć, że wyrazy te bardzo dobry na mnie wywarły skutek; dotknęło mej słabej strony i zapomniałem na chwilę, że rozpatrywanie tych rzeczy wzniosłych nie mogło zastąpić wolności straconej. Zresztą liczyłem nieco i na przyszłość dla załatwienia tej ważnej kwestii. Dlatego też poprzestałem na odpowiedzi:

– Panie, jeżeli zerwałeś z ludzkością, przecież nie wyparłeś się uczuć ludzkich. Jesteśmy rozbitkami przyjętymi z litości na twój pokład, nie zapomnimy o tym. Ja z mej strony pojmuję, że jeśli dla nauki można się wyrzec wolności, to w towarzystwie pańskim będę miał czym ją zastąpić.

Sądziłem, że dowódca poda mi rękę na stwierdzenie naszego porozumienia się, ale tego nie uczynił. Żałowałem tego nie dla siebie, ale dla niego.

⁷⁰ z moimi – ludźmi; załoga.

– Ostatnie jeszcze pytanie – rzekłem w chwili, gdy niepojęty ten człowiek zdawał się chcieć oddalić.

– Słucham cię, panie profesorze.

– Jak mam pana nazywać?

– Dla pana – odpowiedział dowódca – jestem kapitanem Nemo; pan zaś i pańscy towarzysze jesteście dla mnie podróżnymi na „Nautilusie”⁷¹.

Na zawołanie kapitana Nemo wszedł służący. Kapitan wydał mu rozkazy w tym dziwnym języku, którego nie mogłem rozeznąć; potem, zwracając się do Kanadyjczyka i Conseil'a, rzekł:

– Znajdźcie posiłek w waszej kajucie, udajcie się za tym człowiekiem.

– Tego się nie odmawia – zamruczał oszczepnik.

Wyszli nareszcie z tej celi, w której siedzieli zamknięci od trzydziestu przeszło godzin.

– A teraz, panie Aronnax, pójdziemy i my na śniadanie. Pozwól mi pan służyć sobie.

– Jestem do usług pańskich, kapitanie.

Poszedłem za kapitanem Nemo i zaraz po przejściu drzwi weszliśmy w korytarz elektrycznie oświetlony, podobny do tych przejść, jakie zwykle bywają wewnątrz okrętów. Po przejściu jakichś dziesięciu metrów, drugie drzwi otworzyły się przed nami. Weszliśmy do sali jadalnej przybranej i umeblowanej z pewną prostotą smaku. W dwóch krańcach sali wznosiły się wysokie dębowe kredensy hebanem inkrustowane, wypełnione na półkach fajansem, szkłem, porcelaną wysokiej wartości. Naczynia srebrne i złote ciskały świetny blask w oświetleniu promieniejącym, złagodzony wytwornym na suficie malowaniem.

Na środku sali stał stół bogato zastawiony. Kapitan Nemo wskazał mi miejsce, które zająć miałem.

– Siadaj pan – rzekł do mnie – i jedz, jakbyś już nigdy w życiu jeść nie miał.

Śniadanie składało się z kilku potraw dostarczonych przez morze i kilku takich, których nie znałem natury ani pochodzenia. Przyznam, że było to dobre, ale miało swój smak zupełnie odrębny, do którego nietrudno mi się było przyzwyczaić. Różne te pokarmy zdawały mi się obfitować w fosfor i sądziłem, że ich pochodzenie musiało być morskie.

Kapitan Nemo patrzył na mnie. Nie pytałem go o nic, ale on sam zgadywał moje myśli i sam odpowiadał na pytania, które rad bym mu zadać.

– Większej części tych potraw nie znasz pan wcale – rzekł do mnie – jednakże możesz ich pan używać bez obawy. Zdrowe są i pożywne. Od dawna wyrzekłem się pokarmów na ziemi używanych i nie cierpię na tym bynajmniej. Ludzie stanowiący załogę mego statku są silni, a żyją tym samym co i ja.

– Zatem wszystkie te pokarmy pochodzą z morza? – zapytałem.

– Tak, panie profesorze, morze zaspokaja wszystkie nasze potrzeby. To zakładam sieci i wydobywam je pełne; to znowu poluję wśród tego żywiołu, który zdaje się być nieprzystępnym dla człowieka; zdobywam zwierzynę kryjącą się w moich lasach podmorskich. Moje trzody, jak trzody starego pasterza Neptuna, pasą się bez obawy na rozległych łąkach oceanu. Mam ja tam obszerną posiadłość, z której wciąż czerpię i którą wciąż zasiewa ręka Stwórcy wszechrzeczy.

Patrzyłem na kapitana Nemo z pewnym zdziwieniem i odrzekłem:

– Bardzo to pojmuję, panie kapitanie, że pańskie sieci dostarczają ci ryb wybornych; mniej pojmuję polowanie na zwierzynę wodną, lecz zupełnie nie widzę, skąd byś pan mógł mieć choćby kawałek mięsa.

– Ja też, panie – odpowiedział kapitan Nemo – nie używam nigdy mięsa zwierząt lądowych.

– A cóż to jest takiego? – rzekłem, wskazując półmisek, na którym pozostało jeszcze kilka kawałków poledwicy.

⁷¹ *Nemo (...) Nautilusie* – *nemo* [łac.; red. WL] znaczy „nikt”, *nautilus* znaczy „pływak”.

– To, co się tobie wydaje mięsem, panie profesorze, jest po prostu połędwicą z żółwia morskiego. Patrz, oto tu wątróbka z delfina, którą byś wziął za potrawkę z wieprzowiny. Mój kucharz jest mistrzem w przyrządzaniu tych przeróżnych płodów oceanu. Kosztuj wszystkich tych potraw. Oto konserwa z holoturii, którą Malajczyk ogłosiłby za niezrównaną, to znów krem, do którego wymię wieloryba dostarczyło mleka, a cukru porosty z Morza Północnego; wreszcie pozwól pan sobie zalecić konfitury z anemonów morskich⁷², bo nie ustępują w niczym konfiturom z najsmaczniejszych owoców.

I kosztowałem wszystkiego, wprawdzie raczej jako ciekawy niż jako smakosz, a tymczasem kapitan Nemo zdumiewał mnie nieprawdopodobnymi swymi opowiadaniem.

– Ale co jeszcze, panie Aronnax, to morze, niewyczerpane źródło pożywienia, nie tylko że mnie karmi, ale jeszcze i odziewa. Tkaniny, które cię okrywają, robione są z włókien pewnych muszli, a ten odcień fioletowy otrzymują z aplyzji⁷³, mięczaka żyjącego w Morzu Śródziemnym. Perfumy, które stoją na toalecie w twojej kajucie, są wydestylowane z roślin morskich. Pościel twoja jest z najmniejszej zostery, rośliny morskiej zwanej włosiem roślinnym. Pióro, którym pisać będziesz, jest z fiszbinu⁷⁴, atrament cieczą wydzieloną przez sepie⁷⁵. Wszystko teraz mam z morza, jak kiedyś wszystko wróci do niego!

– Zakochany jesteś w morzu, kapitanie!

– Tak, kocham morze! Morze jest wszystkim! Pokrywa ono siedem dziesiątych powierzchni naszego globu. Jego tchnienie jest czyste i zdrowe. Jest to niezmierzona pustynia, gdzie jednak człowiek nie jest nigdy sam, bo wszędzie czuje wokoło siebie życie drgające. Morze, dźwignia potężnego i cudownego istnienia, całe jest ruchem i miłością. Jest to żyjąca nieskończoność, jak się jeden z waszych poetów wyraził. Tak jest, panie profesorze, natura objawia się tu w każdym ze swoich trzech królestw: mineralnym, roślinnym i zwierzęcym. To ostatnie przedstawiają cztery gromady zwierzokrzewów⁷⁶, trzy gromady zwierząt stawowatych, pięć gromad mięczaków, trzy gromady kręgowych, ssące, płazy i te nieprzeliczone legiony ryb, zastęp bez końca obejmujący więcej niż trzysta tysięcy gatunków, z których zaledwie część dziesiąta żyje w wodach słodkich. Morze to niezmiernie zbiorowisko natury! Morzem, że się tak wyrażę, glob się nasz począł i kto wie, czy morzem się nie zakończy. Tu jest najwyższy spokój. Morze nie da się podbić. Na jego powierzchni mogą jeszcze ludzie wykonywać swoje niegodziwe prawa: bić się na niej, pożerać się, przenieść na nią wszystkie okropności ziemskie. Ale już o trzydzieści stóp pod jego powierzchnią kończy się ich władza – wpływ ich ustaje, potęga niknie! Ach, panie! Żyć, żyć tylko w łonie morza! Tu tylko jest niepodległość! Tu nie znam nad sobą pana! Tu jestem wolny!

Kapitan Nemo umilkł nagle. Byłże to skutek niezwykłego wybuchu, mówiłże zbyt wiele? Przez czas pewien chodził bardzo wzruszony, lecz wkrótce nerwy jego uspokoiły się, fizjonomia wróciła do zwykłego swego chłodu; zwracając się do mnie, rzekł:

– Teraz, panie profesorze, jeśli chcesz zwiedzić „Nautilusa”, jestem na twoje rozkazy!

⁷² *anemony morskie* – osiadłe koralowce należące do rzędu ukwiałów.

⁷³ *aplyzja* – tzw. zając morski, rodzaj ślimaka o muszli zredukowanej do niewielkiej płytki.

⁷⁴ *fiszbin* – płyta rogową w jamie gębowej wieloryba, służąca do filtrowania wody morskiej, w celu odzyskania z niej pożywienia w postaci planktonu.

⁷⁵ *sepie* – inaczej mątwy; dziesięcioramienne głowonogi drapieżne.

⁷⁶ *zwierzokrzewy* – nazwa przypisywana niegdyś bezkręgowcom przypominającym krzaczaste rośliny; uznawane dawniej za formę pośrednią pomiędzy zwierzętami, a roślinami.

Nautilus

Kapitan Nemo powstał, a ja poszedłszy za nim przez podwójne drzwi w głębi sali, wszedłem do pokoju takiej samej rozległości jak ten, który opuściłem.

Była to biblioteka. Wysokie, z czarnego palisandru⁷⁷ szafy inkrustowane miedzią na szerokich swych półkach dźwigały znaczną liczbę książek jednostajnie oprawionych. Szafy te stały naokoło sali, odpowiednio do jej kształtu, a u stóp ich rozścielały się obszerne sofy pokryte ciemną skórą, powyginane bardzo wygodnie i ruchome pulpity w miarę potrzeby dające się zbliżyć lub oddalić. Na środku stał stół, a na nim mnóstwo broszur, pomiędzy którymi widać było kilka starych już dzienników. Światło elektryczne oblewało całość tę harmonijną, a padało z trzech kul na wpół wpuszczonych w ozdoby architektoniczne sufitu. Z prawdziwym zdziwieniem patrzyłem na tę salę tak dowcipnie urządzoną i zaledwiem uwierzyłbym oczom.

– Kapitanie Nemo – rzekłem do mego gospodarza, który rozsiadł się na sofie – ta biblioteka przyniosłaby zaszczyt niejednemu z pałaców na lądzie stałym i prawdziwie jestem zachwycony, gdy pomyślę, że ona towarzyszy ci w największych głębiach oceanu.

– Gdzież można znaleźć większą samotność, głębsze milczenie, panie profesorze? – odpowiedział kapitan Nemo. – Czy pański gabinet w muzeum może ci zupełnie zapewnić wypoczynek?

– Nie, panie i muszę dodać, że mój gabinet jest bardzo ubogi w porównaniu z pańskim. Pan tu posiadasz sześć do siedmiu tysięcy tomów...

– Dwanaście tysięcy, panie Aronnax. Są to jedyne węzły, jakie mnie jeszcze łączą z ziemią. Lecz świat skończył się dla mnie w dniu, w którym mój „Nautilus” po raz pierwszy zanurzył się pod wodę. W tym dniu zakupiłem ostatnie tomy dzieł, ostatnie broszury, ostatnie dzienniki i od tej chwili pragnę wierzyć, że ludzkość ani myśleć, ani pisać nie umie. Te książki, panie profesorze, są na twoje usługi; możesz z nich korzystać, ile ci się podoba.

Podziękowałem kapitanowi i zbliżyłem się dla przejrzenia biblioteki. Obfitowała ona w książki traktujące we wszystkich językach o nauce, moralności i literaturze – lecz nie dostrzegłem nigdzie ani jednego dzieła o ekonomii politycznej, która, jak się zdawało, nie została dopuszczona. Na uwagę zasługuje ten ciekawy szczegół, że wszystkie te książki ustawione były bez względu na języki, w których je napisano, a ta mieszanina dowodziła, że kapitan „Nautilusa” musiał czytać zarówno biegle wszystko, co mu popadło w ręce.

Pomiędzy tymi dziełami zauważyłem arcydzieła mistrzów, starożytnych i nowoczesnych, to jest wszystko, co ludzkość najpiękniejszego stworzyła w historii, poezji, romansie i nauce, od Homera do Wiktora Hugo, od Ksenofonta do Micheleta, od Rabelais'ego aż do pani Sand. Nauka jednak przeważała; dzieła o mechanice, balistyce, hydrografii, meteorologii, geografii, geologii itp., zajmowały nie mniej miejsca niż dzieła dotyczące historii naturalnej; zrozumiałem, że się nimi głównie kapitan zajmował. Widziałem tam kompletne dzieła takich pisarzy jak Humboldt, Arago, Foucault, Henryk Sainte-Claire-Deville, Chasles, Milne Edwards, Quatrefages, Tyndall, Faraday, Berthelot, ksiądz Secchi, Petermann, kapitan Maury, Agassis itd., pamiętniki akademii nauk, biuletyny różnych towarzystw geograficznych itp. Pomiędzy dziełami Józefa Bertranda jego książka *Założyciele astronomii* wskazała mi jedną datę bardzo pewną. Ponieważ widziałem, że wyszła w ciągu 1865 roku, mogłem stąd wnosić, że instalacja „Nautilusa” nie dalszej sięgała epoki. Tak więc od trzech lat dopiero najwyżej kapitan Nemo zaczął swój byt podwodny. Spodziewałem się zresztą, że jeszcze inne dzieła pozwolą bardziej stanowczo określić tę epokę; lecz miałem mieć dość czasu na to poszukiwanie, a nie chciałem opóźniać dalszej przechadzki po cudownym „Nautilusie”.

⁷⁷ palisander – drewno z tropikalnych drzew, należących do rodzaju *Dalbergia*.

– Dziękuję panu – rzekłem do kapitana – że mi pozwalasz używać tej biblioteki. Są to skarby wiedzy, a ja nie zaniedbam z nich korzystać.

– Ta sala nie samą jest tylko biblioteką; służy ona także i do palenia – rzekł kapitan.

– Do palenia? – zawołałem – więc można palić na tym okręcie?

– A naturalnie!

– To mnie skłania do mniemania, że pan zachowałeś stosunki z Hawaną.

– Bynajmniej – odparł kapitan – przyjmij pan to cygaro, panie Aronnax, a chociaż ono nie pochodzi z Hawany, będziesz z niego zadowolony, jeśli jesteś znawcą.

Przyjąłem podane mi cygaro, kształtem przypominające londressy; ale zdawało się być wyrobione z liści złotych. Zapaliłem je i wciągałem w siebie pierwsze jego dymki z namiętnością amatora, który nie palił od dwu dni.

– To wyborne – rzekłem – ale to nie tytoń.

– Nie – odpowiedział kapitan – ten tytoń nie pochodzi ani z Hawany ani ze Wschodu. Jest to rodzaj porostu wodnego bogatego w nikotynę, którego mi trochę skąpo morze udziela. Ale nie zateknicz Pan za swoimi londressami.

– O kapitanie! Gardzę nimi od dnia dzisiejszego.

– Pal więc do woli i nie myśl o pochodzeniu tych cygar. Choć ich monopol państwowy nie kontrolował, nie mniej przeto są dobre, jak mi się zdaje.

– Tym lepsze.

W tej chwili kapitan Nemo otworzył drzwi znajdujące się naprzeciw tych, którymi wszedłem do biblioteki i weszliśmy do salonu bardzo dużego i oświetlonego wspaniale. Był to obszerny czworobok długości dziesięciu, szerokości sześciu, a wysokości pięciu metrów. Świetlny sufit, lekkimi przyozdobiony arabeskami, rozrzucał jasne i łagodne światło na wszystkie cuda nagromadzone w tym muzeum. Było to rzeczywiście muzeum, w którym ręka rozumna, hojna zgromadziła wszystkie skarby natury i sztuki z tym nieładem artystycznym, jakim się odznaczają pracownie malarzy.

Z trzydzieści obrazów mistrzowskich w ramach jednostajnych, przedzielonych tylko połyskującymi tarczami z okazami broni, zdobiło ściany okryte tkaniną, mającą desenie w stylu surowym. Były tam płótna co najwyżej wartości, które po większej części podziwiałem już dawniej w zbiorach prywatnych europejskich i na wystawach obrazów. Różne szkoły malarskie dawnych mistrzów były tu reprezentowane taką na przykład „Madonną” Rafaela, „Dziewicą” Leonarda da Vinci, „Nimfą” Corregia, „Kobietą” Tycjana, „Adoracją” Veronese’a, „Wniebowzięciem” Murilla, „Portretem” Holbeina, „Mnichem” Velasqueza, „Męczeństwem” Ribeiry, „Jarmarkiem” Rubensa. Były jeszcze dwa krajobrazy flamandzkie Teniersa, trzy niewielkie obrazki rodzajowe Gérarda Dow, Metsua, Pawła Pottera; dwa płótna Géricault i Prudhona, kilka widoków morskich Backuysena i Vernet’a. Z dzieł młodszego malarstwa odznaczały się obrazy podpisane przez Delacroix, Ingres, Decamp, Troyon, Meissonnier etc. Kilka zmniejszonych posągów z marmuru lub brązu, skopiowanych z najpiękniejszych wzorów starożytności wznosiło się na piedestałach po rogach tego wspaniałego muzeum. Oszołomienie, które mi przepowiedział dowódca „Nautilus”, zaczęło już ogarniać mój umysł.

– Panie profesorze – rzekł wtedy ten niepojęty człowiek – wybac mi pan, że tak bez ceremonii pana przyjmuję, i nieporządek, jaki panuje w tym salonie.

– Panie – odpowiedziałem – nie badając, kto jesteś, czy nie wolno mi w panu odgadnąć artystę?

– Co najwięcej, to amatora. Lubilem kiedyś zbierać te piękne dzieła ręki ludzkiej; chciałem poszukiwałem, szperałem niestrudzony i zdołałem zgromadzić nieco przedmiotów wysokiej wartości. Są to ostatnie moje wspomnienia z tej ziemi, która umarła dla mnie. W moich oczach wasi artyści tegocześni są już starożytni, jakby istnieli przed dwoma lub trzema tysiącami lat. Mistrze nie mają wieku.

– A ci muzycy? – rzekłem, wskazując na partycje Webera, Rossiniego, Mozarta, Beethovena, Haydna, Meyerbeera, Herolda, Wagnera, Aubera, Gounoda i wielu innych rozrzuconych na wielkim rozmiarach fortepianie i organie zarazem, zajmującym jedną ścianę salonu.

– Ci muzycy – odpowiedział kapitan – są to współcześni Orfeusze, bo różnice chronologiczne zacierają się we wspomnieniu zmarłych, a ja zmarłem, panie profesorze, tak samo jak twoi przyjaciele, którzy spoczywają na sześć stóp pod ziemią.

Kapitan Nemo zamilkł i zdawał się głęboko pogrążony w zadumie; żywo wzruszony patrzyłem na niego, rozważając w milczeniu dziwne zmiany jego fizjonomii. Wsparty na łokciach o kosztowny stół mozaikowy nie widział mnie albo też zapomniał o mojej obecności; szanowałem tę zadumę i przepatrywałem zbiór ciekawostek zdobiących salon.

Obok dzieł sztuki rzadkości przyrody zajmowały ważne miejsce. Były to głównie rośliny, muszle i inne produkcje oceanu, które zapewne poznajdował kapitan osobiście. W pośrodku salonu wodotrysk oświetlony światłem elektrycznym spadał do zbiornika utworzonego z olbrzymiej trydakny⁷⁸. Muszla ta, należąca do największego z mięczaków bezgłowych, miała brzegi ślicznie ufalowane, a obwód jej wynosił około sześciu metrów, była większa niż piękne trydakny, które Rzeczpospolita Wenecka darowała Franciszkowi I, a które ten monarcha złożył w kościele świętego Sulpicjusza w Paryżu, gdzie z nich zrobiono dwie olbrzymie chrzcielnice.

Wokoło tego zbiornika, za szybami oprawnymi w okucie mosiężne były ustawione i opatrzone napisami najrzadsze płody morskie, jakie kiedykolwiek naturalista oglądał. Można pojąć mój profesorski zachwyt.

Dział zwierzokrzewów przedstawiał nadzwyczaj ciekawe okazy polipów i jeżokorów⁷⁹. Z pierwszych tubipory⁸⁰ (organki), wachlarzowate gorgonie⁸¹, miękkie gąbki syryjskie, członkowaty izys molucki, pannatula⁸² zwana piórem morskim, dziwna wirgularia⁸³ z morza norweskiego; dalej przeróżne madrepery⁸⁴, które mistrz mój, Milne Edwards, tak umiejętnie rozklasyfikował na sekcje, a pomiędzy którymi dostrzegłem śliczne flabeliny⁸⁵, oczkowce⁸⁶ zwane korałem białym, wreszcie wszystkie te ciekawe gatunki polipów, których nagromadzenie tworzy wyspy i z których znowu kiedyś powstaną całe lądy. Z jeżokorów, odznaczających się kolczastą swą powłoką, gwiazdy morskie⁸⁷, pentakryny⁸⁸, komatule⁸⁹, jeżowce⁹⁰, holaturie⁹¹ itd. tworzyły bogatą kolekcję tego działu gatunków.

Konchyliolog⁹² nieco nerwowo stanąłby niewątpliwie jak wryty przed liczniejszymi jeszcze okazami z działu mięczaków. Brakłoby mi czasu, gdybym chciał opisywać zbiór ten nieoszacowany. Wymienię tylko dla pamięci ozdobny młot królewski z Oceanu Indyjskiego, w

⁷⁸ trydakna – inaczej tridakna lub przydacznica; rodzaj dużych małży morskich.

⁷⁹ jeżokory – obecna nazwa to szkarłupnie; typ wtóroustych zwierząt bezkręgowych, wykazujących promienistą symetrię ciała.

⁸⁰ tubipora – gatunek miękkiego koralowca, występującego w Oceanie Indyjskim i Spokojnym.

⁸¹ gorgonie – rodzaj ośmiopromiennych koralowców.

⁸² pannatula – inaczej piórowka lub pióro morskie; rodzaj półosiadłych koralowców, których kolonie przypominają pokrojem pióra.

⁸³ wirgularia (łac. *Virgularia*) – ośmiopromienny koralowiec, którego kolonie przypominają wyglądem pióra.

⁸⁴ madrepery – inaczej koral madreporowe; wytwarzają masywny szkielet wapienny.

⁸⁵ flabeliny – rodzaj wielobarwnych ślimaków morskich.

⁸⁶ oczkowiec – koralowiec sześciopromienny.

⁸⁷ gwiazdy morskie – szkarłupnie należące do gromady rozgwiazd; przypominają gwiazdy.

⁸⁸ pentakryny – rodzaj liliowców należących do szkarłupni.

⁸⁹ komatule – rodzaj morskich bezkręgowców należących do szkarłupni, pokrojem przypominających gwiazdy.

⁹⁰ jeżowce – rodzaj morskich bezkręgowców należących do szkarłupni; charakteryzują się kulistym kształtem i wapiennymi kolcami pokrywającymi ciało.

⁹¹ holaturie – rodzaj morskich zwierząt bezkręgowych o miękkim, wydłużonym ciele.

⁹² konchyliologia – inaczej konchiologia; nauka badająca muszle mięczaków.

regularne plamy, tak żywo odbijające od tła czerwono-brunatnego; spondylus cesarski⁹³ świetnej barwy, cały najeżony długimi kolcami, rzadkość niesłychana w zbiorach europejskich. Ceniłem go na dwadzieścia tysięcy franków. Młot pospolity⁹⁴ z mórz Nowej Holandii, o który także niełatwo; podzwrotnikową, senegalską skruszelkę – delikatną, białą muszlę dwuskorupną, co jak bańka mydlana od dmuchnięcia zdaje się prysnąć; kilka jawajskich gatunków kropideł sitkowych w kształcie rurki wapiennej o wywiniętym fryzowanym brzegu, zasklepionej wypukłym denkiem poprzebijanym dziurkami jak w koneweczce ogrodniczej. Dalej cały szereg wartołków (Trosus), to zielonawo-żółtych, z mórz amerykańskich, to różowo-brunatnych, z wód Nowej Holandii; to o skrętach dachówkowatych z Zatoki Meksykańskiej, to jeszcze inne australijskie. Wreszcie ze wszystkich najrzadszy wartołek ostrogowaty z Nowej Zelandii. Innych nawet rodzajów nie sposób wyliczyć; owe turbanki, littoryny, delfinule, jantyny, owula, olinsy, woluty, porcelanki⁹⁵ używane za monetę w Afryce i Indiach, mitry, purpury, harfy, murezy, wieżyczki, wrzecionki, skrzydlacze, patelki, trąby Trytona, owe prześliczne wzorzyste stożki jak ów mało komu znany *Cocnodulli* i wszystkie odmiany porcelanowatych, a między nimi najdroższa z muszel Oceanu Indyjskiego *Gloria maris* (chwała morza).

Obok w osobnych przedziałach rozwijały się sznury najpiękniejszych pereł w świetle elektrycznym ognistymi migocącymi iskrami; pereł różowych, znajdowanych w skrzelicy (pinna) z Morza Czarnego, pereł zielonych ze ślimaka *haliotis inis*, pereł żółtych, niebieskich, czarnych – rzadkości dostarczanych przez różne mięczaki wszystkich oceanów; na koniec kilka okazów pereł nieocenionej wartości, wysączanych przez najrzadsze muszle perłowe. Niektóre były większe od gołębiego jaja i warte były tyleż, a może więcej niż ta, którą podróżnik Tavernier sprzedał szachowi perskiemu za trzy miliony – a miały pierwszeństwo przed ową perłą Imana Maskatu, którą uważałem dotąd za niezrównaną.

Tak więc niepodobna było oznaczyć cyfrą wartości tego zbioru. Kapitan Nemo musiał wydać miliony na nabycie tych różnych okazów i pytałem się sam siebie, skąd on czerpał możność zadowalania swej fantazji zbieracza, gdy nagle przerwały mi te jego wyrazy:

– Rozpatrujesz się pan w moich muszlach, panie profesorze; rzeczywiście mogą one zainteresować naturalistę. Lecz dla mnie mają one jeden powab więcej, bom je zebrał wszystkie własną ręką, a nie ma morza na kuli ziemskiej, w którym bym nie czynił poszukiwań.

– Rozumiem, kapitanie, rozumiem tę rozkosz przebywania wpośród tylu bogactw. Jesteś pan z liczby tych, którzy sami swoje skarby zgromadzili. Żadne muzeum w Europie nie posiada podobnego zbioru tworów oceanu. Ale jeśli wyczerpię mój cały podziw dla tych zbiorów, to nie pozostanie mi sił do podziwiania okrętu, który je unosi! Nie chcę bynajmniej przenikać tajemnic pańskich; przyznam się jednak, że jestem ciekawy niezmiernie poznać siłę poruszającą „Nautilusa”, przyrządy pozwalające nim kierować, potężny czynnik, który go ożywia. Na ścianach tego salonu widzę porozwieszane narzędzia, których przeznaczenia nie znam jeszcze: czy mogę wiedzieć?...

– Panie Aronnax – odrzekł kapitan Nemo – mówiłem panu, że będziesz zupełnie swobodny na moim okręcie, żadna przeto część „Nautilusa” nie jest panu wzbroniona. Możesz go więc rozpatrywać we wszystkich szczegółach, a ja chętnie dam panu wszelkie objaśnienia.

– Nie wiem, jak mam panu podziękować, ale nie myślę nadużywać grzeczności pańskiej. Chciałbym tylko wiedzieć, do czego służą te narzędzia fizyczne.

⁹³ *spondylus cesarski* – gatunek małży charakteryzujący się długimi kolcami.

⁹⁴ *młot pospolity* – obecnie głowomłot pospolity, inaczej rekin młot; ryba z charakterystyczną budową głowy, przypominającą młot.

⁹⁵ *porcelanki* – ślimaki morskie, charakteryzujące się muszlami przypominającymi porcelanowy wyrób; wbrew pozorom nazwa nie pochodzi od porcelany, a wywodzi się od słowa *porceletta* (mała świnka), gdyż wygląd głowy ślimaka przypomina świński ryjek; porcelana wzięła nazwę od porcelanek.

– Takie same narzędzia znajdują się w moim pokoju i tam to właśnie będę miał zaszczyt wyjaśnić panu ich użycie. Lecz najpierw chodź pan obejrzeć przygotowaną dla siebie kajutę; powinieneś pan przecie widzieć, jak będziesz mieszkał na „Nautilusie”.

Poszedłem za kapitanem przez jedne z drzwi, w każdej ścianie salonu będących, na korytarz okrętowy. W stronie przodu okrętowego znalazłem nie kajutę, ale pokój elegancki z łóżkiem, toaletą i różnymi innymi meblami. Było za co podziękować mojemu gospodarzowi.

– Pański pokój przytyka do mojego – rzekł, otwierając drzwi – a mój prowadzi do salonu, któryśmy tylko co opuścili.

Wszedłem do pokoju kapitana. Miał on pozór bardzo surowy, prawie klasztorny. Stało tam łóżko żelazne, stolik do pracy, kilka sprzętów toaletowych – wszystko oświetlone półświatłem. Nic, co by ku wygodzie służyło. Tylko co koniecznie potrzebne.

Kapitan Nemo wskazał mi krzesło.

– Racz pan usiąść – rzekł do mnie.

Wszystko za pomocą elektryczności

– Panie – rzekł kapitan, wskazując narzędzia porozwieszane na ścianach swojego pokoju – oto przyrządy niezbędne „Nautilusowi” do żeglugi. Tu, jak i w salonie, mam je zawsze pod okiem; wskazują mi one dokładnie położenie moje i kierunek wśród oceanu. Jedne są panu znane, jak termometr, wskazujący temperaturę wewnętrzną „Nautilusa”, barometr, który wskazuje ciśnienie powietrza i przepowiada zmianę pogody, higrometr, pokazujący stopień suchości atmosfery, *stormglass*, którego mieszanina, rozkładając się, zapowiada nadejście burzy, busola, wedle której kieruję mą drogę, sekstant, który wedle wysokości słońca na niebie uczy mnie poznawać, pod jaką jestem szerokością, chronometry, pozwalające mi obliczyć długość geograficzną, i na koniec lunety dzienne i nocne, które mi służą do sprawdzenia wszystkich punktów widnokręgu, gdy „Nautilus” wypłyne na powierzchnię wód.

– To są narzędzia zwyczajne, każdemu żeglarzowi potrzebne – odpowiedziałem – a znam zarówno ich potrzebę, jak i pożytek. Lecz tu są inne, odpowiadające zapewne szczególnym potrzebom „Nautilusa”. Ten kompas oto, po którym przebiegła igła ruchoma, nie jestże to⁹⁶ manometr?

– Jest to rzeczywiście manometr. Gdy wprowadzę go w związek z wodą, której wskazuje ciśnienie zewnętrzne, pokazuje mi tym samym głębokość, w jakiej się mój statek znajduje.

– A te sondy nowego gatunku?

– To sondy termometryczne wskazujące temperaturę różnych warstw wody.

– Ale inne narzędzia, których użytku nie pojmuję?

– Tutaj, panie profesorze, muszę ci dać kilka objaśnień – rzekł Nemo – racz mię pan posłuchać.

Milczał przez chwilę, potem mówił.

– Jest czynnik potężny, posłuszny, szybki, łatwy do dyrygowania, który nadaje się do wszystkich użytków i który panuje na moim statku. Wszystko się tu robi przez niego. On mnie oświeca i ogrzewa. On jest duszą moich przyrządów mechanicznych. Czynnikiem tym jest elektryczność.

– Elektryczność! – zawołałem dość zdziwiony.

– Tak jest, panie.

– Jednakże, kapitanie, pański statek posiada nadzwyczajną szybkość ruchu, która nie zgadza się z siłą elektryczności. Dotychczas siła jej dynamiczna (podtrzymująca ruch) okazała się niewielka i mogła wywierać bardzo małe skutki.

– Panie profesorze – odpowiedział kapitan Nemo – moja elektryczność nie jest elektrycznością pospolitą; ale otóż i wszystko, co w tym przedmiocie powiedzieć mogę.

– Nie będę zatem nastawał na odkrycie mi przyczyn; dosyć mi będzie podziwiać skutki. Jedno tylko pytanie zadam panu, na które możesz mi pan nie odpowiedzieć, jeśli jest niedyskretne. Pierwiastki, których pan używasz do wywoływania tego czynnika cudownego, muszą się zużywać bardzo prędko. Cynk na przykład czymże pan zastąpisz, nie mając żadnych z ziemią stosunków?

– Pańskie pytanie nie pozostanie bez odpowiedzi – odrzekł kapitan. – Powiem panu na pewno, że w głębi mórz są kopalnie cynku, żelaza, srebra, złota, których eksploatacja byłaby może korzystna. Ale nic nie biorę od tych metali; morze tylko samo dostarcza mi środków wyprodukowania mojej elektryczności.

– Morze?

⁹⁶ *nie jestże to* – konstrukcja z partykułą *-że*; znaczenie: czy nie jest to.

– Tak, panie Aronnax, morze; a środków mi nie zabrakło. Mógłbym przecież przez zetknięcie drutów zanurzonych w różnych głębokościach otrzymać prąd elektryczny wywołany przez różnicę temperatur, jakiej te druty podlegają⁹⁷. Woląłem jednak użyć systemu praktyczniejszego.

– Jakiegoż tedy?

– Pan znasz skład wody morskiej. Na tysiąc jej gramów znajduje się w niej 965 gramów wody a 27 gramów chlorku sodu; prócz tego mała ilość chlorków: magnezu i potasu, bromku magnezu, siarczanu magnezji, siarczanu i węglanu wapna. Widzisz pan więc, że chlorek sodu występuje w niej w znacznej ilości. Otóż ja wydobywam sól z wody morskiej i używam go do stosów.

– Jak to, sól?

– Tak, panie. Sól z rtęcią tworzą amalgamat, który zastępuje miejsce cynku w ogniach stosu Bunsena. Tylko sól się zużywa, a morze samo dostarcza mi go. Przy tym dodać muszę, iż stosy sodowe muszą być uważane za najsilniejsze i że siła ich elektroporuszająca jest dwa razy większa niż stosów cynkowych.

– Pojmuję dobrze, panie kapitanie, wyższość sodu w warunkach, w jakich się pan znajdujesz. Morze zawiera go w sobie, to dobrze. Ale trzeba go wyrabiać, słowem, wytwarzać go. Jakże to pan robisz? Stosy pańskie widocznie służyć mogą do tego celu; lecz jeśli się nie mylę, to ilość sodu zużywanego przez przyrządy elektryczne przewyższa ilość sodu, jaką się otrzymuje z wody morskiej; a zatem więcej pan zużywa sodu dla otrzymania go, aniżeli go pan wydobywa z wody.

– Tak, panie profesorze, ale ja go nie otrzymuję za pomocą stosu, tylko w tym celu używam po prostu ciepła węgla ziemnego.

– Węgla ziemnego? – pytałem z naciskiem.

– Albo węgla morskiego, jeśli pan wolisz – odrzekł kapitan Nemo.

– Jak to! Więc pan możesz eksploatować kopalnie podmorskie węgla kamiennego?

– Będiesz mnie pan widział przy tej czynności, panie Aronnax. Proszę tylko o chwilę cierpliwości, ponieważ masz czas być cierpliwym. Pamiętaj pan to tylko, żem winien wszystko oceanowi; on wydaje elektryczność, daje „Nautilusowi” ciepło, światło, ruch, życie jednym słowem.

– Ale nie powietrze, którym oddychacie?

– O! Mógłbym wyrabiać i powietrze potrzebne na moją konsumpcję, lecz mi to niepotrzebne, gdyż mogę wypłynąć na powierzchnię morza, kiedy mi się podoba. Jednakże, jeśli mi elektryczność nie daje powietrza do oddychania, to porusza pompy potężne, nagromadzające je w zbiornikach właściwych, co mi pozwala przedłużyć w potrzebie mój pobyt w głębi morza, a nawet pozostać tam, gdy chcę, bardzo długo.

– Kapitanie! – odpowiedziałem – Poprzestaję na dziwieniu się. Widocznie znalazłeś to, co ludzie znajdą kiedyś niezawodnie, Prawdziwą siłę dynamiczną elektryczności.

– Nie wiem, czy ją znajdą – zimno odpowiedział kapitan Nemo – bądź co bądź, znasz pan już pierwsze zastosowania mego czynnika nieoszacowanego. On to nam daje ową jednostajną i ciągłą światłość, której nie daje światło słoneczne. Teraz przypatrz się pan temu zegarowi. Jest on elektryczny, a idzie tak dokładnie jakby najlepszy chronometr. Wskazuje mi on 24 godziny jak zegary włoskie, bo dla mnie nie ma nocy ani dnia, słońca ani księżyca, tylko światło sztuczne, które sprowadzam aż do głębi morza. Patrz pan, w tej chwili jest dziesiąta rano.

– Wybornie.

– A tu oto inne zastosowanie elektryczności. Ta tarcza, zawieszona przed naszymi oczyma, wskazuje prędkość „Nautilusa”. Drut elektryczny łączy ją ze śrubą, a igła wskazuje mi rzeczywisty

⁹⁷ przez zetknięcie drutów zanurzonych w różnych głębokościach (...) przez różnicę temperatur, jakiej te druty podlegają – słowa powyższe stanowią jedną z najciekawszych wizji przyszłości Juliusza Verne'a, wizji, która dopiero teraz zaczyna się urzeczywistniać.

pochód statku. Patrz pan, w tej chwili płyniemy z umiarkowaną prędkością piętnastu mil na godzinę.

– Ależ to cudowne, kapitanie! – odpowiedziałem. – Widzę, że miałeś pan słusność, używając tego czynnika, który ma z czasem zastąpić wodę, wiatr i parę.

– Nie skończyliśmy jeszcze, panie Aronnax – rzekł kapitan, powstając – jeśli pan chcesz iść za mną, zwiedzimy tył „Nautilusa”.

W rzeczy samej znalazłem bardzo dobrze całą przednią część tego statku podmorskiego, którego części dokładnie tu powtarzam, w kierunku od środka do ostrogi: sala jadalna długości pięciu metrów, oddzielona od biblioteki nieprzepuszczalną przegrodą, przez którą woda przejść nie mogła; biblioteka pięć metrów; wielki salon dziesięć metrów, oddzielony od pokoju kapitana inną przegrodą nieprzepuszczalną; wspomniany pokój kapitana, pięć metrów; mój, dwa metry pięćdziesiąt centymetrów; nareszcie rezerwuuar powietrza mający siedem metrów pięćdziesiąt centymetrów, ciągnący się aż do belki środkowej. Wszystko razem miało trzydzieści pięć metrów długości. Przegrody nieprzepuszczalne opatrzone były drzwiami hermetycznie się zamykającymi na wyłogi kauczukowe, co zabezpieczało od zalania statek, na wypadek, gdyby się woda którejś przedostała.

Poszedłem za kapitanem przez boczne korytarze i doszliśmy do środka okrętu. Tam był rodzaj studni zawierającej dwie przegrody nieprzepuszczalne. Do wyższej jej części prowadziła drabinka żelazna, przyczepiona do ściany. Spytałem kapitana, do jakiego użytku służyła ta drabinka.

– Ona prowadzi do czoła – odpowiedział.

– A więc macie i czoło? – zapytałem zdziwiony.

– A jakże. Statek to wyborny, lekki, nietonący; służy nam do spaceru i do połowu.

– Więc gdy kto chce użyć czoła, to musi powrócić na powierzchnię morza?

– Bynajmniej. To czoło przylega szczelnie do wyższej części „Nautilusa” i zajmuje wklęsłość umyślnie tam dla niego przygotowaną. Jest ono zupełnie zamknięte i nie przepuszcza wody; przytwierdzone zaś jest mocno. Ta drabina prowadzi do otworu, którym się człowiek przeciśnie, zrobionego w szkielecie „Nautilusa”. Otwór ten odpowiada podobnemu otworowi w boku czoła. Przez ten to podwójny otwór wchodzę do czoła. Zamykają za mną otwór w okęcie, ja zamykam otwór w czołnie za pomocą śruby naciskającej, uwalniam czoło od przytrzymujących je sztab i wypływam z nadzwyczajną szybkością na powierzchnię morza. Wtedy otwieram starannie aż dotąd zamknięty pomost, ustawiam maszt, zaciągam żagle lub biorę się do wiosła i płynę.

– Ale jakże pan powracasz?

– Ja już nie powracam, panie Aronnax, to „Nautilus” powraca.

– Na pańskie rozkazy?

– Na moje rozkazy. Drut elektryczny łączy mnie z nim. Telegrafuję i tyle.

– W rzeczy samej – rzekłem oszołomiony tymi cudami – nic prostszego i łatwiejszego.

Minąwszy klatkę ze schodami dotykającymi górnego pokładu, spostrzegłem kajutę długości dwu metrów, w której Conseil i Ned Land zachwyceni jadłem spożywali je ze smakiem. Następne drzwi wiodły do kuchni długości trzech metrów, a położonej pomiędzy obszernymi spiżarniami.

Tam elektryczność, energiczniejsza i posłuszniejsza nawet od gazu, zastosowana była do gotowania. Druty dochodzące aż pod kociołki udzielały gąbkom platynowym ciepła, wszędzie jednakowo utrzymywanego i rozdzielanego. Elektryczność ogrzewała także przyrządy destylacyjne, które przez odparowanie dostarczały wody wybornej do picia. Przy tej kuchni urządzono wygodną łazienkę, do której dowolna ilość wody ciepłej lub zimnej spływała za odkręceniem kurków. Za kuchnią znajdowała się izba dla załogi długości pięć metrów; lecz że drzwi były zamknięte, nie mogłem widzieć jej urządzenia, z którego bym mógł wnieść o liczbie osób potrzebnych do obsłużenia „Nautilusa”. W głębi wznosiła się czwarta przegroda

nieprzepuszczalna, oddzielająca tę izbę od komory maszyn. Otworzyły się drzwi i weszliśmy do tego przedziału, w którym kapitan Nemo – widocznie wyborny inżynier – ustawił swoje przyrządy ruchu. Izba ta, jasno oświetlona, miała najmniej dwadzieścia metrów długości. Jak to łatwo zrozumieć, dzieliła się ona na dwie części: w pierwszej były żywioły wytwarzające elektryczność, w drugiej mechanizm nadający ruch śrubie.

Od razu uderzyła mnie szczególnego rodzaju woń zapęlniająca ten przedział. Kapitan Nemo spostrzegł to moje wrażenie.

– To gaz wydobywający się z sodu; ale to mała niedogodność. Zresztą co rano czyścimy z tej woni okręt, otwierając go dostępowi świeżego powietrza.

Ciekawie przyglądałem się maszynie „Nautilusa”.

– Widzisz pan – rzekł kapitan – używam stosu Bunsena a nie cewki Ruhmkorffa, bo jest ona za słaba. Stosy Bunsena nie są liczne, ale wielkie i mocne, co jest lepsze, jak uczy doświadczenie. Elektryczność wydobyta przechodzi na tył, gdzie za pomocą elektromagnesów dużego rozmiaru działa na właściwy system drążków i trybów, które nadają ruch śrubie. Jej średnica wynosi sześć metrów, a **krok** siedem metrów i pół; może więc robić do stu dwudziestu obrotów na sekundę.

– Przy tylu obrotach można mieć szybkość?...

– Pięćdziesiąt mil na godzinę.

Była w tym jakaś tajemnica, ale nie chciałem żądać jej wyjaśnienia. Jakim sposobem elektryczność mogła działać z taką potęgą? Gdzie powstała ta siła prawie nieograniczona? Czy z nadzwyczajnego ciśnienia otrzymywanego za pomocą cewek nowego rodzaju? Czy leżała w transmisji, którą system drążków nieznan⁹⁸ mógł podnieść do nieskończoności? Tego nie mogłem rozstrzygnąć.

– Kapitanie Nemo, zgadzam się na rezultaty i nie szukam ich objaśnienia. Widziałem „Nautilusa” manewrującego wobec „Abrahama Lincolna”, wiem, co mam sądzić o jego szybkości. Lecz iść, to jeszcze nie dosyć, trzeba wiedzieć, dokąd się idzie! Trzeba mieć możliwość kierowania się na prawo, na lewo, do góry, na dół! Jakim sposobem zapuszczacie się do wielkich głębin, skoro spotykacie opór rosnący, znaczący tyle, co ciśnienie setek atmosfer? Jak powracacie na powierzchnię oceanu? Na koniec, jak utrzymujecie się na żądanej głębokości? Może to niedelikatnie z mej strony, że zadaję te pytania?

– Bynajmniej, panie profesorze – odpowiedział kapitan po krótkim wahaniu – bynajmniej, skoro pan nigdy już nie masz opuścić tego statku podmorskiego. Chodź pan do salonu. Tam jest nasza prawdziwa pracownia i tam dowiesz się pan wszystkiego, co możesz wiedzieć o „Nautilusie”.

⁹⁸ *system drążków* – w rzeczy samej mówiono o odkryciu tego rodzaju; nowa pomyślna gra drążków ma wytwarzać siłę bardzo znaczną. Może wynalazca trafił na to samo, co i kapitan Nemo. [przypis autorski]

Trochę liczb

W chwilę potem siedzieliśmy w salonie na sofie, paląc cygara. Kapitan przedstawił mi rysunek zawierający plan, przecięcie i elewację „Nautilusa”, po czym zaczął opis statku tymi słowami:

– Masz pan przed oczami, panie Aronnax, rozmaite wymiary statku, który pana unosi. Jest to walec znacznie wydłużony, z zakończeniami ostrokągowymi. Zbliża się bardzo do kształtu cygara przyjętego już Londynie w kilku podobnego rodzaju budowach. Długość walca od jednego końca do drugiego, ściśle obliczona, wynosi siedemdziesiąt metrów, a belka poprzeczna w najszerszym jego miejscu mierzy osiem metrów długości. Nie ma więc na długość dziesięć razy tyle co na szerokość, jak wasze parowce o wielkiej prędkości, ale linia jego jest dostatecznie długa, a kształt dość smagły, ażeby woda wypierana przez niego z łatwością się usuwała i nie tamowała biegu statku. Z tych dwóch wymiarów możesz pan łatwo prostym wyrachowaniem otrzymać powierzchnię i objętość „Nautilusa”. Powierzchnia jego wynosi tysiąc jedenaście metrów kwadratowych i czterdzieści pięć setnych; objętość tysiąc pięćset metrów sześciennych i dwie dziesiąte – czyli, inaczej się wyrażając, statek ten całkowicie zanurzony wypycha wody albo waży tysiąc pięćset metrów sześciennych lub ton. Kiedy kreśliłem plany tego statku przeznaczonego do żeglugi podmorskiej, chciałem, ażeby, znajdując się w wodzie w zupełnej równowadze, zanurzał się na dziewięć dziesiątych, wynurzał się zaś z wody tylko na jedną dziesiątą. Tym sposobem powinien był w takich warunkach wypychać wody tylko dziewięć dziesiątych swej objętości, tysiąc trzysta pięćdziesiąt sześć metrów sześciennych i czterdzieści osiem setnych, czyli musiał ważyć właśnie taką liczbę ton. Budując go zatem podług powyższych wymiarów, nie mogłem tej wagi przekroczyć. „Nautilus” składa się z dwóch pudeł: jednego zewnętrznego a drugiego wewnętrznego, połączonych z sobą żelazami w kształcie litery T, co mu daje niesłychaną wytrzymałość. W istocie, dzięki temu urządzeniu komórkowatemu statek stawia opór głazu, zupełnie jakby nie był pusty. Nie można wgnieść jego ściany, bo ona odpiera każdy nacisk swą wypukłością, która jest w konstrukcji, a nie jest skutkiem kłamrowania; jednolitość zaś budowy, którą statek zawdzięcza doskonałemu zespoleniu materiałów, pozwala mu stawiać czoło najburzliwшему morzu. Te dwie powłoki zrobione są z blachy stalowej, której ciężkość gatunkowa w stosunku do wody jest siedem i osiem dziesiątych. Pierwsza posiada grubość pięciu centymetrów i waży trzysta dziewięćdziesiąt cztery tony i dziewięćdziesiąt sześć setnych. Druga powłoka, belka podwalinowa wysokości pięćdziesięciu, a szerokości dwudziestu pięciu centymetrów i ważąca sześćdziesiąt dwie tony, maszyna, balast, różne akcesoria i przyrządy, przegrody i poprzeczne, podpierające belki, składają się na wagę dziewięćuset sześćdziesięciu jeden ton i sześćdziesiąt dwie setnych, które dodawszy do trzystu dziewięćdziesięciu czterech ton i dziewięćdziesięciu sześciu setnych, otrzymamy sumę żadaną tysiąca trzystu pięćdziesięciu sześciu ton i czterdziestu ośmiu setnych. Wszak zgoda na to?

– Zgoda – odpowiedziałem.

– Tak więc – mówił dalej kapitan – kiedy „Nautilus” płynie w takich warunkach, wynurza się z wody na jedną dziesiątą. Otóż, urządziwszy zbiorniki objętości, dorównującej tej jednej dziesiątej, czyli stu pięćdziesięciu tonom i siedemdziesięciu dwóm setnym, mogę je w potrzebie napęlić wodą i statek, wypychając wtedy tysiąc pięćset siedem ton, co równa się jego wadze, zanurzy się zupełnie w wodzie. I tak się też dzieje, panie profesorze. Zbiorniki te istnieją w niższych częściach „Nautilusa”. Za otwarciem kranów napęliają się wodą, a statek, zanurzwszy się, górną powierzchnią dotyka poziomu morza.

– Dobrze, kapitanie; ale tu właśnie napotykamy istotną trudność. Pojmuję, że w ten sposób możesz pan się ślizgać pod samą powierzchnią oceanu. Ale zagłębiając się coraz dalej od tego poziomu, pański podwodny przyrząd trafi na ciśnienie; czy zatem nie ulegnie sile parcia z

dołu ku górze, dorównującej jednej atmosferze na trzydzieści stóp wody, czyli prawie jednemu kilogramowi na centymetr kwadratowy?

– Nic prawdziwszego, panie profesorze.

– Nie widzę więc innego sposobu zagłębienia „Nautilusa” w dalsze warstwy płynne, jak wypełnienie go wodą całkowicie.

– Panie profesorze – odpowiedział kapitan Nemo – nie należy nigdy mieszać statyki z dynamiką, bo można ważny błąd popełnić. Niewiele trzeba pracy, ażeby dostać się do niskich okolic oceanu, bo ciała posiadają skłonność do pogrążania się. Posłuchaj Pan mego rozumowania.

– Słucham cię, kapitanie.

– Kiedy chciałem oznaczyć, ile należy dodać wagi „Nautilusowi”, ażeby go zanurzyć całkowicie, potrzeba mi było mieć tylko na uwadze zmniejszenie objętości wody morskiej w miarę pogrążenia się w głębsze warstwy oceanu.

– To rzecz naturalna – odpowiedziałem.

– Woda nie jest wprawdzie zupełnie nieściśliwa, jednakże posiada bardzo małą ściśliwość. Istotnie, według najnowszych obliczeń, zmniejszenie, o którym mowa, równa się tylko czterystu trzydziestu sześciu dziesięciomilionowym na jedną atmosferę, to jest na każde trzydzieści stóp głębokości. Jeśli zatem trzeba pogrążyć się na tysiąc metrów, mam na względzie zmniejszenie objętości pod ciśnieniem, dorównującym słupowi wody wysokiemu na tysiąc metrów, to jest pod ciśnieniem stu atmosfer. Zmniejszenie to wyniesie wtedy czterysta trzydzieści sześć sto tysięcznych. Wagę więc należy powiększyć do tysiąca pięciuset trzynastu ton i siedemdziesiąt siedem setnych, zamiast zwykłej tysiąca pięciuset siedmiu ton i dwóch dziesiątych. Powiększenie zatem wyniesie sześć ton i pięćdziesiąt siedem setnych.

– Tylko?

– Tylko, panie Aronnax; obliczenie to bardzo łatwo sprawdzić. Otóż trzeba panu wiedzieć, że mam zbiorniki dodatkowe, mające sto beczek objętości. Mogę więc zanurzać się do dalekich głębin. Kiedy chcę podnieść się i wierzchem statku dotykać wód poziomą, potrzebuję tylko wypuścić tę wodę; a chcąc wynurzyć „Nautilusa” na jedną dziesiątą jego całej objętości, dość mi opróżnić wszystkie zbiorniki.

Nie mogłem nic zarzucić tym dowodzeniom popartym cyframi.

– Zgadzam się na wasze rachunki, kapitanie, i byłbym dziwakiem, zaprzeczając im, kiedy każdodziennie doświadczenie dowodzi ich nieomyślności. Ale w tym miejscu przeczuwam trudność rzeczywistości.

– Jaką, panie profesorze?

– Kiedy się pan pogrążysz na tysiąc metrów głębokości, ściany „Nautilusa” poddane są ciśnieniu stu atmosfer. Jeśli więc wtedy chcesz opróżnić dodatkowe zbiorniki dla odjęcia wagi statkowi i podniesienia się ku poziomowi, każesz pompom przewycięzać to ciśnienie stu atmosfer, które równa się stu kilogramom na każdy centymetr kwadratowy... To wymaga siły...

– Którą tylko elektryczność dać mi mogła – przerwał kapitan Nemo. – Powtarzam panu, że potęga dynamiczna moich maszyn jest prawie nieskończona. Pompy na „Nautilusie” mają siłę cudowną; musiałeś to pan spostrzec, kiedy wyrzuciły słupy wody, które niby potok runęły na pokład „Abrahama Lincolna”. Zresztą używam zbiorników dodatkowych wtedy tylko, gdy zamierzam osiągnąć głębin na tysiąc pięćset lub dwa tysiące metrów i to zawsze w celu oszczędzenia przyrządów. Toteż kiedy mi przyjdzie chęć zwiedzenia głębin oceanu na dwie lub trzy mile pod jego poziomem, używam sposobów dłuższych, choć nie mniej skutecznych.

– Jakich, kapitanie? – zapytałem.

– Odpowiadając na to pytanie, muszę naturalnie przystąpić do objaśnień, jakim sposobem kieruje się „Nautilusem”.

– Oczekuję ich z niecierpliwością.

– Ażeby kierować statkiem na lewo, na prawo, słowem, aby robić obroty po płaszczyźnie poziomej, używam zwykłego steru o szerokim grzebieniu, przytwierdzonego do tylnego zaokrąglenia statku, a poruszane go za pomocą koła, bloków i lin. Ale mogę również kierować „Nautilusem” z dołu do góry i z góry na dół po płaszczyźnie pionowej za pomocą dwóch płaszczyzn nachylonych, przytwierdzonych zewnątrz⁹⁹, w środku linii zagłębiania się; płaszczyzn ruchomych, mogących przyjmować wszelkie położenia i poruszanych z zewnątrz za pomocą potężnych dźwigni. Jeśli te płaszczyzny ustawione są równoległe do statku, ten porusza się poziomo! Jeśli zaś są w położeniu pochylonym, „Nautilus”, stosownie do tego pochylenia i pod siłą popychającą śruby, zanurza się w kierunku przekątnej, długiej według mego upodobania, lub też podnosi się po tejże przekątnej. Jeśli chcę prędzej dostać się na powierzchnię wód, powściągam działanie śruby, a wtedy ciśnienie wody wypycha pionowo „Nautilusa” niby balon wydęty wodorem i wznoszący się w obłoki.

– Brawo, kapitanie! – zawołałem. – Ale jakimże sposobem sternik może wyśledzić drogę, którą mu wśród wód zakresłas?

– Sternik umieszczony jest w klatce oszklonej, która wystaje w wyższej części „Nautilusa” i opatrzona jest szybami soczewkowymi.

– Jakże szkła mogą się oprzeć takiemu ciśnieniu?

– Opierają się wybornie. Kryształ, kruchy przy uderzeniu, stawia jednak znaczny opór. W czasie doświadczeń połowu ryb przy świetle elektrycznym odbywanych w 1864 roku w morzach północnych szyby z kryształu grubości tylko siedmiu milimetrów znosiły ciśnienie szesnastu atmosfer i przepuszczały przy tym potężne promienie ciepła, które im nierówno ciepło rozdzielały. Szkła przeze mnie użyte mają dwadzieścia jeden centymetrów grubości w środku, tj. są trzydzieści razy grubsze od tamtych.

– Zgoda, kapitanie Nemo, ale przecież widzieć wtedy dopiero można, kiedy światło rozprasza otaczające ciemności; pytam się więc, jakim sposobem pośród ciemności wód...

– W klatce sternika z tyłu umieszczony jest potężny reflektor elektryczny, oświetlający swymi promieniami morze na przestrzeni pół mili.

– Ach, brawo! Po trzykroć brawo, kapitanie! Tłumaczę sobie teraz fosforescencję mniemanego narwala, która tak zaciękała uczonych. Przy tej sposobności zapytam pana, czy starcie się „Nautilusa” i statku „Scotia”, które tyle miało rozgłosu, było wpływem przypadkowego spotkania?

– Najzupełniej przypadkowego. Płynąłem na głębokości dwu metrów pod powierzchnią wód, kiedy nastąpiło zderzenie. Zresztą widziałem, że to starcie nie pociągnęło za sobą żadnych złych skutków.

– To prawda. Co zaś do spotkania z „Abrahamem Lincolnem”?...

– Panie profesorze, żał mi jednego z najlepszych statków tej dzielnej marynarki amerykańskiej; ale zaczepiono mnie, musiałem się bronić! Ograniczyłem się zresztą na uczynieniu fregaty nieszkodliwą dla mnie i sądzę, że z łatwością naprawi wszystkie swoje uszkodzenia w najbliższym porcie.

– Ach, komendancie! – zawołałem z przekonaniem w głosie – „Nautilus” to prawdziwie cudowny statek!

– Tak, panie profesorze – odpowiedział z rzeczywistym wzruszeniem kapitan Nemo – kocham go też jak własną krew moją. Jeżeli na każdym z waszych okrętów, zależnych od kaprysu oceanu, wszystko grozi niebezpieczeństwem; jeżeli na morzu pierwsze wrażenie objawia się w poczuciu otchłani, jak dobrze powiedział Holender Jansen – tu w głębi, na pokładzie „Nautilusa” człowiek już niczego obawiać się nie może. Niemożliwe jest uszkodzenie statku przy podwójnej jego powłoce twardości żelaza; nie ma omasztowania podlegającego niebezpieczeństwu

⁹⁹ przytwierdzonych zewnątrz – dziś: na zewnątrz.

przy silnym kołysaniu lub nachyleniu statku; nie ma żagli wiatrem zdzieranych ani maszyn rozsadzanych parą. Pożar jest nieszkodliwy w przyrządzie z blachy a nie z drzewa; węgla nie może zabraknąć, bo elektryczność jest działaczem mechanicznym; o spotkaniu jakimkolwiek nie ma co myśleć, gdy statek sam jeden te głębiny przebywa i burzy nie ma się co lękać, bo na kilka metrów pod powierzchnią wód panuje spokój zupełny! Toteż, panie profesorze, jest to statek jedyny i jeżeli to prawda, że inżynier więcej ufa statkowi niż jego budowniczemu, a budowniczy więcej niż dowódca, zważ pan, z jaką ufnością oddaję się memu „Nautilusowi” ja, który jestem zarazem kapitanem, budowniczym i inżynierem!

Kapitan Nemo mówił z porywającą wymową. Ogień w spojrzeniu, namiętność w gestykulacji przeobraziły go zupełnie.

Tak! On kochał swój statek jak ojciec własne dziecko!

Ja zaś nie mogłem się powstrzymać od zapytania, może niedyskretnego, które mi się naturalnie nasręczało:

– Więc pan jesteś inżynierem, kapitanie Nemo?

– Tak, panie profesorze – odpowiedział – uczyłem się w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku, w owych czasach, kiedy zamieszkiwałem łądy kuli ziemskiej.

– Ale jakże pan mogłeś w tajemnicy zbudować cudownego „Nautilusa”?

– Każda jego część, panie Aronnax, przysłana mi była z innego punktu kuli ziemskiej pod zmyślonym adresem. Belkę podwalinową wykuto w Creusot we Francji; oś śruby zrobiono u Pena i sp. w Londynie; blachy na powłoki u Scotta w Glasgow. Zbiorniki wykonano u Caila i sp. w Paryżu; maszynę u Kruppa w Prusach; ostrogę w warsztatach Motali w Szwecji; instrumenty precyzyjne u braci Hart w Nowym Jorku etc.; a każdy z tych dostawców otrzymywał plan innym podpisany nazwiskiem.

– Ależ – odrzekłem – trzeba było te wykończone części złożyć i dopasować.

– Panie profesorze, wiedz, że urządziłem własne warsztaty na bezludnej wysepce na pełnym morzu. Tam to moi robotnicy, a raczej moi dzielni towarzysze, przeze mnie wyuczeni i wykształceni, z moją pomocą wykończyli „Nautilusa”. Po skończonej operacji ogień zniszczył ślady naszego pobytu na tej wysepce, którą byłbym chętnie w powietrze wysadził, gdyby to było możliwe.

– Tym sposobem wolno mi mniemać, że koszty wybudowania tego statku są niezmiernie.

– Panie Aronnax, cena okrętu żelaznego wynosi tysiąc sto dwadzieścia pięć franków na każdą tonę. „Nautilus”, jak wiadomo, ma tysiąc pięćset ton i kosztuje milion sześćset osiemdziesiąt siedem franków, czyli dwa miliony ze wszelkimi przyborami, czyli cztery do pięciu milionów, licząc dzieła sztuki i zbiory, które zawiera.

– Ostatnie pytanie, kapitanie Nemo.

– I owszem, panie profesorze.

– Jesteś pan bogaty?

– Bogaty nieskończenie, profesorze, i mógłbym bez uszczerbku zapłacić dwanaście miliardów długów ciążących na Francji.

Spojrzałem bystro na dziwaka, który tak się do mnie odzywał. Czyżby chciał nadużywać mojej łatwowierności? Przyszłość miała mnie pod tym względem oświecić.

Czarna rzeka

Część kuli ziemskiej, przez wody zajęta, równa się trzem milionom ośmiuset trzydziestu dwóm tysiącom pięciuset pięćdziesięciu ośmiu miriametrom kwadratowym, czyli przeszło trzydziestu ośmiu milionom hektarów. Ta masa płynna ma objętości dwa miliardy dwieście pięćdziesiąt milionów mil sześciennych i tworzyłaby kulę o średnicy sześćdziesięciu mil, ważącą trzy kwintyliony ton. Ażeby mieć wyobrażenie o tej cyfrze, należy pamiętać, że kwintylion tak się ma do miliarda, jak miliard do jedności, to jest, że w kwintylionie tyle jest miliardów, ile jedności w miliardzie. Ta masa płynna da się jeszcze w przybliżeniu wyrazić ilością wody, którą by wylewały wszystkie rzeki na ziemi przez czterdzieści tysięcy lat.

W epokach geologicznych po okresie ogniowym nastąpił okres wodny. Ocean w początku całkowicie kulę ziemską pokrywał. Potem stopniowo w okresach syluryjskich ukazały się wierzchołki gór, wytworzyły się wyspy, znikły potem pod działaniem potopów cząstkowych, znowu się wyłoniły, ustaliły się, połączyły, tworząc lądy – dopóki nie przybrały tych zarysów geograficznych, które dziś widzimy. Masy stałe zdobyły na płynnym obszarze przestrzeń trzydziestu siedmiu milionów sześciuset pięćdziesięciu mil kwadratowych, czyli dwanaście tysięcy dziewięćset szesnaście milionów hektarów.

Kształt lądów pozwala podzielić wody na pięć części: Ocean Lodowaty Północny, Ocean Lodowaty Południowy, Ocean Indyjski, Ocean Atlantyczny, Ocean Spokojny.

Ocean Spokojny rozciąga się od północy ku południowi między dwoma kołami biegunowymi i od zachodu na wschód pomiędzy Azją i Ameryką, na przestrzeni stu czterdziestu pięciu stopni długości geograficznej. Jest to najspokojniejsze z mórz; prądy ma szerokie i powolne, przyływy średnie, deszcze obfite. Taki ocean miałem zrzędzeniem losu przepływać w najdziwniejszych warunkach.

– Panie profesorze – rzekł do mnie kapitan Nemo – jeśli pan chcesz, oznaczmy dokładnie naszą pozycję i punkt wyjścia naszej podróży. Jest teraz trzy kwadransy na dwunastą. Wybierzmy się na powierzchnię morza.

Kapitan przycisnął trzykrotnie dzwonek elektryczny. Pompy zaczęły wyrzucać wodę ze zbiorników; wskazówka manometru pokazywała stopniowo ruch „Nautilusa” z dołu do góry; nareszcie zatrzymała się.

– Przybyliśmy – rzekł kapitan.

Udałem się ku schodom środkowym, prowadzącym do platformy. Przeszedłszy po metalowych stopniach i przez otwory w ścianach, znalazłem się na górnej części „Nautilusa”.

Platforma wystawała nad wodę tylko na osiemdziesiąt centymetrów. Przód i tył „Nautilusa” przedstawiały te zarysy wrzecionowate, które go pozwalały porównać do długiego cygara. Zwróciłem tedy uwagę na blachę jego pokrywy, pokarbowaną niby w rzędy dachówek, podobne do łuski pokrywającej ciało wielkich ziemnych gadów. Teraz rozumiałem, dlaczego pomimo jak najlepszej lunety statek ten brano zawsze za morskiego potwora.

Ku środkowi platformy łódka, do połowy obsadzona w pudle statku, tworzyła niewielką wyniosłość. Z przodu i z tyłu wznosiły się dwie klatki średniej wysokości, o ścianach nachylonych, w większej części zajętych przez grube szkła soczewkowe; jedna mieściła w sobie sternika, kierującego „Nautilusem”, w drugiej błyszczała potężna latarnia elektryczna, oświetlająca nam drogę. Morze było wspaniałe, niebo czyste bez chmurki. Szerokie falowania oceanu zaledwie uczuć się na statku dawały. Lekki wietrzyk wschodni marszczył powierzchnię wód. Widnokrąg, ze mgły oczyszczony, pozwalał na najdokładniejsze obserwacje.

Nic zgoła nie widzieliśmy koło siebie. Ani skały... ani wysepki... ani śladu „Abrahama Lincolna”... tylko pustynia... nieskończoność.

Kapitan, uzbroiwszy się w sekstant, zmierzył wysokość słońca, z której miał obliczyć szerokość geograficzną. Cekał w tym celu kilka minut. W czasie dokonywania obserwacji nie drgnął mu ani jeden muskuł; zdawało się, że instrument przymocowany jest do marmurowej ręki.

– Południe – rzekł – i jeśli pan chcesz, panie profesorze...

Rzuciłem okiem po raz ostatni na fale, trochę żółtawe, japońskich wybrzeży i zeszedłem do wielkiego salonu.

Kapitan naznaczył punkt na mapie, obliczył chronometrycznie długość geograficzną, którą skontrolowawszy z poprzednimi obserwacjami kątów godzinowych, rzekł do mnie:

– Panie Aronnax, jesteśmy pod sto trzydziestym siódmym stopniem i piętnastą minutą długości zachodniej.

– Od jakiego południka – zapytałem z żywością, spodziewając się, że odpowiedź kapitana posłuży mi za wskazówkę do określenia jego narodowości.

– Panie profesorze – odpowiedział – mam tu różne chronometry regulowane podług południków: paryskiego, Greenwich i waszyngtońskiego. Na intencję pańską użyję południka paryskiego.

Ta odpowiedź nic mnie nie nauczyła. Skłoniłem się, a dowódca mówił dalej:

– Sto trzydzieści siedem stopni i piętnaście minut długości na wschód od południka paryskiego i trzydzieści stopni siedem minut szerokości północnej, to jest prawie trzysta mil od wybrzeży japońskich. Dziś więc, 8 listopada w południe, zaczyna się nasza podróż podmorska!

– Niech Bóg ma nas w swej opiece – odrzekłem.

– A teraz, panie profesorze – dodał kapitan – pozostawiam pana przy jego studiach. Naznaczyłem drogę w kierunku wschodnio-północno-wschodnim, na pięćdziesiąt metrów głębokości. Oto mapy z wielką punktacją, na których będziesz pan mógł śledzić przebieg tej drogi. Salon jest do pańskiego rozporządzenia, a mnie pozwól pan oddalić się.

Kapitan Nemo uklonił się i wyszedł. Pozostałem sam, pogrążony w myślach o dowódcy „Nautilusa”. Czyż miałem dowiedzieć się kiedykolwiek, do jakiego narodu należał ten dziwny człowiek, który się chełpił z tego, że do żadnego nie należy? Kto mógł obudzić w nim tę nienawiść do ludzkości, łaknącą może strasznej zemsty? Byłże to jeden z tych niezrozumiałych mędrców, jeden z tych geniuszów, „któremu narobiono nieprzyjemności”, jak mówił Conseil, jakiś nowożytny Galileusz – lub uczony w rodzaju Amerykanina Maury, którego karierę zwichnęły polityczne przewroty? Nic jeszcze nie mogłem o tym wyrzec, ja, którego traf ślepy rzucił na pokład jego statku i którego życie było w rękach kapitana. Przyjęcie dowódcy było chłodne, choć gościnne; uważałem jednak, że nigdy nie dotknął się mojej wyciągniętej ręki, jak również swojej mi nigdy nie podał.

Godzinę całą oddawałem się tym rozmyślaniom, starając się odgadnąć tajemnicę, tak dla mnie zajmującą. Potem mimo woli zwróciłem oczy na wielką mapę rozłożoną na stole i zatrzymałem palec na punkcie przecięcia obserwowanych długości i szerokości.

Morze, tak jak lądy, ma też swoje rzeki. Są to szczególne prądy, łatwe do poznania po temperaturze i kolorze wody; najznacniejszy z nich nosi nazwę Golf-Stream. Nauka oznaczała na kuli ziemskiej kierunek pięciu głównych prądów: jeden w północnym Atlantyku, drugi w Atlantyku południowym, trzeci w Oceanie Spokojnym północnym, czwarty w południowym i piąty w Oceanie Indyjskim południowym. Prawdopodobnie nawet szósty prąd istniał w Oceanie Indyjskim północnym, wtedy gdy morza Kaspijskie i Aralskie, połączone z jeziorami Azji, tworzyły tylko jeden obszar wód.

Od punktu wskazanego na mapie ciągnął się właśnie jeden z tych prądów, *Kuro Scivo* Japończyków, Rzeka Czarna, który, wychodząc z Zatoki Bengalskiej, gdzie go rozgrzewają pionowo padające promienie zwrotnikowego słońca – przepływa przez Cieśninę Malacca, przedłuża wybrzeże Azji, zaokrągla się w Oceanie Spokojnym północnym aż do Wysp Aleuckich, unosząc pnie drzewa kamforowego i inne miejscowe produkty i czystą barwą indygo swych

ciepłych wód odróżniając się od fal oceanu. Ten właśnie prąd miał przebiegać „Nautilus”: śledziłem więc jego kierunek, widziałem, jak ginął w niezmierzonym obszarze Oceanu Spokojnego; zdawało mi się, że mnie za sobą pociąga, kiedy Ned Land i Conseil we drzwiach się ukazali. Moi dwaj dzielni towarzysze stanęli jak skamieniały na widok tyłu cudów nagromadzonych przed ich zdziwionym wzrokiem.

– Gdzież to jesteśmy? – spytał Kanadyjczyk. – Czy w muzeum w Quebecu?

– Chyba prędzej – mówił Conseil – w hotelu Sommerard.

– Moi przyjaciele – odpowiedziałem, dając im znak, aby weszli – nie jesteście ani w Kanadzie, ani we Francji, ale na pokładzie „Nautilusa”, na pięćdziesiąt metrów pod poziomem morza.

– Trzeba im wierzyć, kiedy tak twierdzą – odpowiedział Conseil – ale prawdziwie ten salon może zadziwić nawet takiego jak ja Flamandczyka.

– Podziwiał zatem, przyjacielu, i oglądał, bo dla tak zdolnego klasyfikatora jest tu co do roboty.

Nie potrzebowałem zachęcać Conseila; pocziwiec, nachylony nad szklanymi szafkami, mruczał wyrazy z języka przyrodników: klasa brzuchopełzów, rodzina buccinoidów, rodzaj porcelanowych, gatunek *Cypraea-Madagascariensis*¹⁰⁰etc.

Ned Land tymczasem, nie należąc do konchyliologów, dopytywał się o moje widzenie się z kapitanem Nemo. Dowiadywał się, czy odkryłem, skąd dowódca pochodził, dokąd dążył, do jakich głębin ciągnął nas za sobą; słowem, zadawał mi tysiące pytań, na które nie mogłem nadażyć odpowiadać. Opowiedziałem mu wszystko, co o nieznanym wiedziałem, albo raczej czego nie wiedziałem, i zapytałem z kolei, co też on słyszał lub widział.

– Nic nie widziałem, nic nie słyszałem, – odpowiedział Kanadyjczyk. – Nie spostrzegłem nawet załogi na tym statku; czyżby ona miała być także elektryczna?

– Elektryczna!

– Doprawdy, tak by prawie można myśleć. Ale pan, panie Aronnax, któremu nigdy nie brak pomysłu, możesz mi powiedzieć, ilu też ludzi może być na statku: dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu, stu?

– Nie umiem ci odpowiedzieć, mości Land. Zresztą wierz mi, pozbadź się, przynajmniej na teraz, myśli opanowania „Nautilusa” lub ucieczki. Niejeden chętnie zgodziłby się na położenie, w którym się znajdujemy, aby tylko odbyć przejażdżkę wśród tych cudów. Toteż siedzmy spokojnie i starajmy się widzieć, co się wokoło nas dzieje.

– Widzieć! – zawołał oszczepnik – ależ właśnie nic nie widać i nigdy nie będzie nic widać w tej blaszanej kozie¹⁰¹! Płyniemy jak ślepi...

Zaledwie Ned Land wymówił te słowa, gdy ciemność nagle nas ogarnęła, ale to ciemność w całym znaczeniu tego wyrazu. Pułap świetlny zagasł z taką szybkością, że uczułem przy tym w oczach wrażenie bólu podobne do całkiem przeciwnego wrażenia, jakiego wzrok doznaje po przejściu z ciemności zupełnej do jarzącego światła.

Oniemiawszy z podziwu, nie ruszaliśmy się wcale, nie wiedząc, jaką przygotowano nam niespodziankę, przyjemną czy przykrą. Wtem dało się słyszeć tarcie, jak gdyby otwierały się boki „Nautilusa”.

– Teraz to już chyba koniec końca – wyrzekł Ned Land.

– Rząd hydromeduz – szepnął Conseil.

Nagle światło całą falą wdarło się do salonu z obu jego boków, przez dwa podłużne otwory. Masa płynna ukazała się jaskrawo oświetlona światłem elektrycznym. Dwie szyby kryształowe oddzielały nas od morza. W pierwszej chwili zadrzałem na myśl, że ta wątła przegroda mogła

¹⁰⁰ *Cypraea-Madagascariensis* a. *Staphylaea nucleus madagascariensis* (łac.) – gatunek ślimaka morskiego.

¹⁰¹ *koza* – tu: areszt, więzienie.

się rozprysnąć; ale spostrzegłem, że silne mosiężne okucia dozwoliły jej stawiać opór prawie nieograniczony.

Widzieliśmy w morzu najdokładniej wszystko w promieniu milowym naokoło „Nautilusa”.

Co za widok! Jakież pióro zdołałoby go opisać. Któż by potrafił odmalować te efekty światła przenikające przezroczyste masy – łagodność w stopniowaniu jego siły słabnącej w warstwach oceanu poniżej lub powyżej statku położonych!

Wiadomo wszystkim, jaka jest przezroczystość morza, przewyższająca tym przymiotem nawet wodę źródłaną. Materie mineralne i organiczne, zawieszone w falach morskich, zwiększają nawet ich przezroczystość. W pewnych częściach oceanu, około Antyli, przez głębię stu czterdziestu pięciu metrów wody można dostrzec z zadziwiającą dokładnością piaszczyste łóżysko morza, a siła przenikliwości promieni słonecznych zdaje się słabnąć dopiero na głębokości trzystu metrów. Ale w tym płynnym żywiole otaczającym „Nautilusa” blask elektryczny rozlewał się w łonie samychże fal. Można by powiedzieć, że to nie była woda oświetlona, ale światło płynne.

Jeśli przyjmiemy hipotezę Ehrenberga, który wierzy w fosforyczne oświetlenie głębin morskich, musimy przyznać, że natura zachowała dla mieszkańców morza najcudowniejszy widok, o którym dopiero mogłem sądzić, patrząc na tysiączne gry tego światła. Z każdej strony statku miałem otwarte okno na te niezbadane dotąd otchłanie. Jasność zewnętrzna odbijała od ciemności salonu, a my patrzyliśmy przez ten czysty kryształ, niby przez szyby olbrzymiego akwarium. „Nautilus” zdawał się stać na miejscu. Powodem tego złudzenia był brak punktów stałych. Czasem jednakże smugi wody, prutej przez ostrogę statku, uciekały przed naszymi oczami z niesłychaną szybkością. Oczarowani ukłękliśmy przed szybami i nie ochłonęliśmy jeszcze ze zdziwienia, kiedy odezwał się Conseil.

– Chciałeś widzieć, przyjacielu Ned, patrzże teraz.

– Ciekawe! Ciekawe! – mówił Kanadyjczyk, który, zapominając o gniewie i o projektach ucieczki, poddawał się nieprzepartemu urokowi. – Oplaciło się z daleka przywędrować, ażeby coś podobnego zobaczyć!

– Ach! – zawołałem – Pojmuję życie tego człowieka! Stworzył sobie świat oddzielny, który go darzy niezrównanymi cudami!

– A ryby? – zagadnął Kanadyjczyk. – Nie widzę jakoś ryb.

– I cóż cię one obchodzą, przyjacielu Ned – odrzekł Conseil – kiedy się na nich nie znasz.

– Jak to, ja, rybak!? – zawołał Ned Land.

Przedmiot ten dał powód do sporu między dwoma przyjaciółmi, gdyż obaj znali ryby, a każdy po swojemu.

Wiadomo, że ryby tworzą czwartą i ostatnią klasę kręgowych. Słusznie powiedziano o nich, że są to: „kręgowce o podwójnej cyrkulacji, mające krew zimną, oddychające za pomocą skrzel i przeznaczone do życia w wodzie”. Ryby rozpadają się na dwie serie całkiem różne: na ryby ościste, których kolumna grzbietowa składa się z kręgów kościstych – i ryby chrząstkowate, których kolumna grzbietowa składa się z kręgów chrząstkowatych.

Kanadyjczyk wiedział może o tej różnicy, ale Conseil wiedział więcej, a połączywszy się węzłem przyjaźni z Nedem, nie mógł się nie uważać za większego uczonego niż oszczepnik. Toteż odezwał się do Kanadyjczyka:

– Przyjacielu Ned, wiem, że zabijasz ryby i łowisz je bardzo zręcznie. Złowiłeś mnóstwo tych zajmujących zwierząt. Ale założyłbym się, że nie wiesz, jak je klasyfikować należy.

– I owszem – odparł poważnie oszczepnik. – Ryby dzielą się na takie, które się je, i na inne, których się nie jada.

– Otóż to mi podział smakosza – odpowiedział Conseil. – Ale powiedz mi, czy znasz różnicę między rybami kościstymi i chrząstkowymi.

– Być może, mości Conseil.

– A podział tych dwu klas?

- Nie domyślam się go nawet – odrzekł Kanadyjczyk.
- Otóż, przyjacielu Ned, słuchaj mnie i uważaj. Ryby kościste dzielą się na sześć rzędów. *Primo*, acanthopterygie, których szczeka górna jest całkowita, ruchoma, a skrzela mają kształt grzebienia; ten rząd obejmuje piętnaście rodzin, to jest trzy czwarte ryb znanych. Typ: okoń zwyczajny.
- Dość smaczny do jedzenia – przerwał Ned.
- *Secundo* – mówił dalej Conseil – bruchopłetwe mające płetwy brzuszne zawieszone pod brzuchem, z tyłu za piersiowymi i niepołączone z kością łopatkową; ten rząd dzieli znowu na pięć rodzin i obejmuje większą część ryb wód słodkich. Typ: karp, szczupak.
- Hm – mruknął Kanadyjczyk z pewną pogardą – ryby wód słodkich!
- *Tertio* – mówił Conseil – subrachie, których płetwy brzuszne przyczepione są pod piersiowymi i łączą się bezpośrednio z kością łopatkową. W rzędzie tym mieszczą się cztery rodziny. Typy: flądry, skarpie¹⁰², sole.
- Wyborne, wyśmienite! – wołał oszczepnik, który zapatrywał się tylko na ryby z punktu jadalności.
- *Quarto* – ciągnął dalej Conseil, nie zważając na te uwagi – niedopłetwe, z ciałem wydłużonym, pozbawionym płetw brzusznych i pokryte grubą, często śliską skórą; do tego rzędu jedna tylko rodzina należy. Typ: węgorz, strętwa¹⁰³.
- Nieszczególne, nieszczególne – odpowiedział Ned Land.
- *Quinto* – rzekł Conseil – wąskoskrzelne z całkowitymi i swobodnymi szczekami, ze skrzelami składającymi się z małych kitek ułożonych po parze wzdłuż łuków skrzelowych. I w tym to rzędzie także mieści się jedna rodzina. Typ: konik morski, pegaz.
- Szkaradne, szkaradne – przerwał oszczepnik.
- Nareszcie *sexto*¹⁰⁴ – kończył Conseil – zrosłoszczekie, u których kość szczękowa przytwierdzona jest stale do części międzyszczękowej tworzącej szczękę i których sklepienie podniebienne łączy się szwem z czaszką, co jej daje nieruchomość. Temu rzędowni brak istotnych płetw brzusznych; rozpada się on na dwie rodziny. Typ: rybojeź, kolcobrzech¹⁰⁵ i ryby księżycowe¹⁰⁶.
- Wszystkie ujmę kuchni przynoszą! – zawołał Kanadyjczyk.
- Czy zrozumiałeś, przyjacielu Ned? – zapytał uczony Conseil.
- Ani trochę, przyjacielu Conseil – odparł oszczepnik. – Ale nie zważaj na to, mów dalej, bo to bardzo zajmujące.
- Co do ryb chrząstkowatych – mówił niewzruszony Conseil – te dzielą się tylko na trzy rzędy.
- Tym lepiej – rzekł Ned.
- *Primo*, okrągłoustę, których szczęki mają kształt lejkowatego smoczka, a skrzela otwierają się przez liczne otworki; rząd obejmujący jedną rodzinę. Typ: minóg¹⁰⁷.
- To cenna ryba – odpowiedział Ned Land.
- *Secundo*, poprzecznouste ze skrzelami jak u poprzednich, ale z niższą szczeką ruchomą. Ten rząd, najważniejszy w całej klasie, zawiera dwie rodziny. Typ: raja i żarłacz.
- Jak to! – zawołał Ned – raje i rekiny w jednym rzędzie! No, mój przyjacielu, w interesie rai nie radzę ci umieszczać jej w jednym słogu z rekinem.

¹⁰² *skarp* – inaczej turbot; flądroształtna (ciało bocznie spłaszczone) ryba morska.

¹⁰³ *strętwa* – węgorz elektryczny.

¹⁰⁴ *primo, secundo (...) sexto* (łac.) – po pierwsze, po drugie itd. po szóste.

¹⁰⁵ *kolcobrzech* – ryba morską tropikalnych posiadająca zdolność nadymania ciała, przez co przypomina kolczastą piłkę.

¹⁰⁶ *ryby księżycowe* – inaczej skalary; ryby słodkowodne.

¹⁰⁷ *minóg* – prymitywne zwierzę wodne zaliczane do bezzuchwoców, będące pasożytem ryb; charakteryzuje go wydłużony kształt.

– *Tertio* – mówił dalej Conseil – jesiotrowe, z otwartymi skrzelami w sposób zwykły, to jest za pomocą szczeliny opatrzonej nakrywką. W tym rzędzie mieszczą się cztery rodzaje. Typ: jesiotr.

– Ach, przyjacielu Conseil, najlepszą rzecz na koniec zachowałeś, przynajmniej mnie się tak zdaje. Czy to już wszystko?

– Już wszystko, mój pocciwcze – odpowiedział Conseil – nie zapominaj jednak, że widząc, com wymienił, jeszcze się nic nie wie, bo rodziny dzielą się na rodzaje, podrodzaje, gatunki, odmiany...

– Otóż właśnie, przyjacielu Conseil – rzekł oszczepnik, nachylając się ku szybie w ścianie – różne gatunki i odmiany przed nami przepływają!

– Tak, to ryby! – zawołał Conseil. – Wyglądamy, jakbyśmy stali przed akwariem!

– Nie – odrzekłem – bo akwariem jest to zawsze tylko klatka, a tu ryby swobodne są jak ptaki w powietrzu.

– Dalej, przyjacielu Conseil, nazywajże je, nazywaj – mówił Ned Land.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.